

169372



DR. W. CICHOCKI



SAMBOR

PRZED PÓŁ WIEKIEM

KRAKÓW

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZ. J. FILIPOWSKIEGO

1925.



SAMBOR

PRZED PÓŁ WIEKIEM

KU UPAMIĘTNIENIU 40-EJ ROCZNICY MATURY ZDAWANEJ
W SAMBORSKIM GIMNAZJUM W CZERWCU 1884 ROKU

NAPISAŁ

DR. WŁADYSŁAW CICHOCKI

EM. RADCA SĄDOWY I ADWOKAT

CAŁY DOCHÓD Z ROZSPRZEDAŻY TEGO PAMIĘTNIKA PRZEZNACZONY NA KSIĄŻKI
DLA BIEDNYCH UCZNIÓW OBU SAMBORSKICH GIMNAZJÓW BEZ RÓŻNICY WYZNA-
NIA I NARODOWOŚCI.

KRAKÓW

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZ. J. FILIPOWSKIEGO
1925.

8530

LP 156

62

169372

II

J. Guinaker
K-cc Słomskiego 41
21.7.62. 10:15



I.

Cichy głos matki mojej, miłości i żalu uczuciem tchnący, obudził mię równo ze świtem dnia 5 września 1872 r. Gdy blask wschodzącego słońca wpadł złocistymi promieniami do pokoju, siedziałem już przy stole. Przedemną dymiła misa gorącego mleka, które mi matka chochelką do garnuszka nalewała. Jakżeż drżały jej suche i spracowane ręce! Po chwili zajechał pod starą lipę prosty wóz zaprzężony w parę małych, dobrze mi znanych koników. Franciszek, wierny sługa dworski, a mojemu ojcu, jako swemu przełożonemu szczerze oddany leśny, był ich właścicielem. W kilka minut później siedziałem już na wozie bezpieczny, bo obok tej, w której opiekę wierzyłem jak w Boga. Matka przeżegnała się, kazała i mnie to uczynić, poczem przy dźwiękach sygnaturki pobliskiego kościoła OO. Karmelitów ruszyliśmy z »Podlesia«, folwarku położonego między Głęboką a Sąsiadowicami, dobrami naszych chlebodawców państwa Duninów. Tak odbył się mój wyjazd do szkół. Skromnie i cicho, jak skromnym i cichym był domek, w którym ojciec mój pełnił obowiązki leśniczego i zarządcy stu morgów lichej, glinkowatej gleby. Tu spędziłem pierwsze dziewięć lat mego życia.

Dążyliśmy do Sambora, najbliższego miasta obwodowego. Podróż naszą przerwały dwa postoje. Pierwszy wypadł w moim kościele parafjalnym pod Sąsiadowicami, gdzie wysłuchaliśmy mszy św. na moją intencję przez matkę moją uproszonej, drugi raz przystanęliśmy w środku Sąsiadowic pod malutkim domkiem przy gościńcu. Zamieszkiwały go dwie kaleki, świątobliwe panny Horodyskie, od których na klęczkach przyjąłem błogosławieństwo na nową drogę życia.

Jechałem kołysany najlepszymi nadziejami, tak często przedtem obudzany we mnie opowiadaniem matki mojej o pięknych miastach i o wielkich lub świętych mężach, wykształconych na

księgach mądrości. Czy chciałem zostać wielkim? Pamiętam, że pragnąłem widzieć wielkich ludzi. Ciekawość ta dotychczas mnie nie opuściła: widzieć wielkich cnotą, pracą, bojaźnią Bożą. Słyszałem nieraz i w »24-rech obrazkach« Anczyca czytałem już przedtem o sławnych wojownikach, ale świętość i światło miało dla mnie szczególny urok.

Dojechaliśmy do Nadyb, gdzie oczy moje uderzył jasny, frontonem ku wschodowi zwrócony, mały ale miłutki (dziś już nieistniejący), dworek państwa Tchorznickich. W Wojutyczach zobaczyłem pierwszy raz w życiu wiatrak, którego wnętrze zawsze później tak tajemniczem mi się wydawało, z Biskowickiej zaś góry ujrzałem dwie wieże i dachy licznych domów. To Sambor — rzekła matka. Na te słowa serce mi zadrżało i już odtąd nie spuszczałem oka z grupy budynków, okolonych drzewami. W jaki kwadrans później doleciał uszu moich głuchy szum, z którego wystrzelał czasem głos ludzki. Niedługo potem przegłuszył wszystko przeraźliwy pisk świń, a za chwilę otworzył się przed nami szeroki plac dokoła zabudowany. Wjechaliśmy w tłum ludzi. Taki ścisk widziałem dotychczas tylko na odpuszczie w Sąsiadowicach na św. Annę. Nawet spokojny i flegmatyczny Franciszek podniósł głos i zaczął się srożyć, co mię przejęło obawą, czy konikom naszym nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Powoli posuwaliśmy się naprzód, wjechaliśmy w jakąś uliczkę, skręcili na lewo i tuż pod sztachetami ogródka zatrzymał Franciszek konie. Podłużny ogródek przytykał do domu, na którym widniał napis: »hotel Polakiewicza«, w ogródku zaś zobaczyłem na kolorowej laseczce złocistą kulę, a w niej daleko, daleko Franciszka, zeskakującego z wozu, na wozie zaś moją matkę, a nawet moją mizerną osóbkę. Jakie to cuda widzieć można w mieście!

Pierwsze kroki skierowała matka moja do pobliskich dwóch świątyń: do kościoła OO. Bernardynów i do cerkwi. Tu zmówiłem pacierz przed cudownym obrazem Matki Boskiej. Wróciliśmy znowu do naszego wozu, gdzie wkrótce przyszedł jakiś »pan« i kupił naszą świnkę, którą przywieźliśmy ze sobą na opłacenie mojego wstępu w świat.

Wszystko to, co się od świtu dotychczas ze mną i obok mnie działo, przyjmowałem więcej zmysłami, niż duchowo. Dopiero wezwanie matki mojej: »chodź Władziu do zapisu« zaparło dech we mnie. Uczułem, że od tej chwili tracę łączność z domem

moim i przechodzę w inny, nieznany mi świat, chociaż wiedziałem już od dawna, co mnie czeka i że ten los nie tylko mnie jednego spotyka. Prowadzony za rękę przez matkę, której nogi tylko widziałem, szedłem nerwami. Kancelarja dyrekcji sparaliżowała mię widocznie, nie pamiętam bowiem wrażenia, jakiego tam doznałem. To tylko utkwilo mi w pamięci, że na podstawie »celującego« świadectwa, wystawionego mi przez Władysława Śmiałowskiego, kierownika szkoły w Sąsiadowicach (przygotowywał mię tylko przez jedne wakacje prywatnie, właściwą nauczycielką moją była moja matka), byłbym w myśl życzenia matki przeszedł odrazu do klasy trzeciej, gdyby nie ten brak, że nie umiałem ani pisać, ani czytać po rusku. Że zaś języka tego uczono już od drugiej klasy, do niej mię więc ku zmartwieniu matki mojej odesłano. Na drugi dzień zobaczyłem poraz pierwszy mojego profesora, który przez całe trzy następne lata był mi wyrocznią w rzeczach nauki. Nazywał się Wawrzyniec Głowacki, a wyglądał wówczas na mężczyznę, który przekroczył już czterdziestkę. Mistrz nasz nie odznaczał się talentem nauczycielskim, wynagradzał jednak z naddatkiem ten brak dobrem sercem i prawdziwie ojcowskim postępowaniem ze swymi uczniami. Uczyl zawsze z trzciną w ręku, z dyscypliny tej jednak rzadko korzystał, a zawsze z bólem serca. To się czulo i widziało. To też kochaliśmy go jak ojca. Stosunek uczniów do tego zacnego pedagoga charakteryzuje następujący wypadek: Pewnego dnia letniego r. 1874 rozeszła się w szkole wiadomość, że żona naszego profesora, chora na raka, wyjechała do Lwowa, celem poddania się operacji. W jaki tydzień później przyniesiono Głowackiemu do klasy telegram, który on drżącą ręką otworzył. Nagła zaduma i ciche łzy, które spłynęły po policzkach czcigodnego męża, takim przejęty żalem całą klasę, że wszyscy na chwilę skamienieli. Tętna serc naszych zlały się z tętnem kochanego naszego przewodnika. Odczuliśmy jego ból, jego stratę.

Szkoła moja mieściła się w istniejącej dotychczas przy ulicy Bernardyńskiej i całą jej prawą stronę zajmującej kamienicy Gędzińskich i w połączeniu z trzema klasami niższej szkoły realnej zajmowała cały obszerny budynek. Urzędowy jej tytuł opiewał: »Szkoła główna i realna«. Mieszkalem przy ulicy Tkackiej (dziś Kopernika) w pierwszych dwóch latach na stacji, w drugiej połowie tej ulicy, w klasie czwartej zaś razem z matką i rodzeństwem w bocznej uliczce od św. Jana (dziś ul. Długosza). Trzy

lata chodzić w wieku chłopięcym codziennie w rozmaitych porach jedną i tą samą ulicą wystarcza, aby wszystkie jej domy utrwalić sobie w pamięci na całe życie. Pisząc te słowa po przeszło pięćdziesięciu latach i w kilkudziesięciomilowej odległości od Sambora, widzę całą tę długą słoneczną ulicę ze wszystkimi jej domkami z przed pół wieku. Mówię wyraźnie domkami. Wszak w r. 1872 i przez kilka jeszcze lat następnych ulica ta, prócz kamienicy po stronie południowej na rogu rynku (dziś kamienica Nr 2 od ulicy Kopernika) nie miała na całej swej długości od rynku aż do rampy kolejowej ani jednego piętrowego budynku. Dopiero w r. 1876 stanął kosztem miasta imponujący na owe czasy gmach szkoły wydziałowej (dziś powszechna szkoła żeńska im. Król. Jadwigi), a w r. 1878 wybudował adwokat Witz (starszy) pierwszą prywatną kamienicę po lewej stronie zaraz z rynku (dziś Nr. 3 oznaczoną własność adwokata Verständiga).

Przed pół wiekiem zdobyły ulicę Tkacką tylko dwie wille (dotychczas istniejące) księdza Kulischa i pani Michalewskiej, resztę budynków stanowiły pospolite domy i skromne domki, niektóre, zwłaszcza w dolnej części ulicy, słomą jeszcze kryte. Mimo to zaliczała się już wówczas Tkacka do pierwszorzędných ulic w Samborze. Zasłużyła sobie na to wielu przymiotami. Prostota i otwartość były po wsze czasy cennymi zaletami. Coś bardzo zbliżonego posiadała i posiada dotychczas ta ulica. Prosta i od południa otwarta wabi oko i grzeje. Długością swoją zdolna zaspokoić wymagania nawet zaciekłych spacerowiczów, była w godzinach wieczornych nawet późną jesienią odwiedzana przez urzędników, a szczególnie przez młodych księży. Wyróżniały ją jeszcze dwie zalety, a to liczne i obszerne ogrody i trotuar po lewej stronie, ze zwykłych wprawdzie nieobrobionych kamieni, ale ciągnący się daleko aż do domu dzisiaj Nr. 69 oznaczonego («Negruszówka»). Na przestrzeni, gdzie dzisiaj legła pierwsza połowa ulicy Mikołaja Reya, znajdowało się obszerne podwórze i obejście realności komisarza Głębińskiego, ojca byłego polskiego ministra, a dotychczas jeszcze posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej Dra Stanisława Głębińskiego. Od tej realności aż do dzisiejszego placu »Sokoła« ciągnęły się same pola i ogrody. Teren zajęty obecnie przez budynek »Sokoła« był brudnym, wiecznie mokrym placem, przeznaczonym na postój fur, a w dni targowe dla szweców Staromiejskich, którzy rozwieszali tutaj swoje oryginalne, ze skóry końskiej zrobione, niekształtne i cuchnące

buty. Para takich butów o miękkich szytych podeszwach, kosztowała jeden złoty reński. Tanie to obuwie służyć mogło tylko w porze suchej i w czasie mrozów, w błocie bowiem i w mokrym śniegu rozłaziło się. Tutaj znajdowały się także skupione w jednym miejscu wszystkie jatki, z których w gorące dni letnie rozchodziła się po całym placu woń padliny.

Naprzeciw tego placu bielila się w dali istniejąca dotychczas kamienica na skrócie ulicy »Zielonej« (dziś Kołłątaja Nr 1), do której przytykał od strony zachodniej rozległy ogród w północnej swej połowie w wielki sad zamieniony. Na parceli sąsiadującej od zachodu z tym ogrodem, wznosiła się, a raczej sterczała „Sala gimnastyczna“. Był to drewniany, szary budynek tak prymitywnej natury, że robił wrażenie szopy, a w najlepszym razie jakiegoś prowizorycznego baraku wojskowego. Pierwotnie całe wnętrze tego budynku tworzyło próżnię. Dopiero później ustawiono w zachodnim jej końcu scenę teatralną, na którą (od tyłu) wchodziło się wprost z ulicy dziś Batorego. Tu znajdowały chwilowy przytułek rozmaite wędrowne trupy teatralne, jak Baczynskiego, Webersfelda, Lasockiego i t. p. Największe jednak sukcesy tak materialne, jak i moralne zbierał na tej scenie ruski teatr ze Lwowa pod dyрекcją Biberowicza. Stary Woźniakowski dawać musiał przedstawienia swoje jeszcze w stajni domu zajezdnego naprzeciw cerkiewnej dzwonicy. Żywo stoi mi przed oczyma sympatyczna postać tego ojca prowincjonalnej sceny polskiej. W owej to stajni wystąpił pewnego zimowego wieczora Woźniakowski poraz ostatni jako dyrektor i aktor przed publicznością. W nielicznem otoczeniu wiernych towarzyszy ciężkiego swego zawodu i przy bladym świetle kilku lamp żegnał się ten osiwiwały wiarus Talji i Melpomeny z niewdzięczną publiką i z ideałami minionej swej młodości. Rzewna ta scena niejednemu widzowi łzę serdecznego współczucia wycisnęła. Nazajutrz opowiadano sobie ze smutkiem, że Woźniakowski zostawił w Samborze resztki swych kulis za długi. A niemałe położył ten mąż na galicyjskiej prowincji zasługi, jeżeli się zważy, że do r. 1872 nie wolno było we Lwowie urządzić więcej, jak dwanaście polskich przedstawień na miesiąc, reszta wieczorów przeznaczoną była dla niemieckiej sceny. Sala gimnastyczna służyła także rozmaitym większym zebraniom obywatelskim w celach politycznych. Tu raz za moich czasów studenckich odbywały się posiedzenia towarzystwa pedagogicznego w czasie zjazdu członków tego towarzystwa



z całego kraju, właściwego jednak przeznaczenia swego budynek ten nie spełniał. Jako uczeń pierwszej gimnazjalnej wyprawiałem w r. 1876 w sali tej kilka razy wspólnie z całą klasą rozmaite skoki, wkrótce jednak »ksiądz dyrektor« zabronił całemu zakładowi tego sportu. Wedle ówczesnych zapatrywań gimnastykowanie się i rzucanie kamieniami po ulicach uważane były za równoznaczne wykroczenia, chodzenie zaś na tańce, choćby do domów prywatnych bez zezwolenia dyrekcji (zezwoleń nigdy nie udzielano) groziło wykluczeniem z gimnazjum. Ekskomunice tej podlegała »Sala gimnastyczna« przez cały czas moich studjów gimnazjalnych i przez kilka jeszcze następnych lat.

Na miejscu tej to »Sali« i na południowej połowie sąsiedniego ogrodu wznosi się dzisiaj obszerny dwupiętrowy budynek polskiego gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Aula gimnazjalna znajduje się tuż nad głównym wchodem do dawnej »Sali gimnastycznej«.

Dalszy ciąg ulicy Zielonej zmienił zupełnie swój wygląd. Były tam za moich czasów tylko dwie kamienice, jedna na prawym rogu ulicy Zamoyskiego (dziś własność Karola Łackiego, obywatela ziemskiego), druga na zachodnim skrawku ulicy Zielonej, dziś jeszcze istniejąca t. zw. »Hildówka«. Resztę budynków tworzyły małe domki przeważnie brudne i zaniedbane. Na tem miejscu, gdzie dziś paradytuje gimnazjum realne (kamienica Medlingera), raziły oko przechodnia wysterczające ponad poziom ulicy trawą, chwastami i dzikim bzem porosłe fundamenta z przedziurawionymi sklepieniami piwnic, zarzuconej od dawna jakiejś większej budowli. Zachodni koniec ulicy Sobieskiego wycięto dopiero w r. 1898. Ulica Zielona wychodziła na ulicę Przemyską, która w tem miejscu rozszerzała się, tworząc dwa place: »Targowicę« i plac »Pod białym koniem«. Na tym ostatnim znajdowały się tylko dwie kamienice.

Na skrawku w ulicę Biskowicką (dziś Jana Kazimierza) stała na prawym rogu karczma z obszerną sienią czyli zajazdem. Dalsza część ulicy Przemyskiej od »Białego konia« ku zachodowi miała zaledwie kilka domków, przestrzeń bowiem między »żandarmerją« (ładny dom z gankiem na filarach dziś jeszcze istniejący) a szpitalem wojskowym tworzyła pola od ulicy parkanem zamknięte, za szpitalem zaś był jeszcze tylko jeden domek mieszkalny. Za nim stała w głębi sąsiedniego ogrodu z desek zbita piętrowa budowla, która raziła pustką i zaniedbaniem. Szyby

w oknach, o ile się gdzie zachowały, pokrywał żółty kurz, z kątów zaś zwisały istne sieci i płachty pajęczynowe. Był to dawny młyn parowy, który upadł zaraz w pierwszych początkach swego istnienia. Droga wokół tego młyna z gościńca przemyskiego do młynówki była za moich czasów prawdziwą drogą polową. W lecie, gdy studenci tłumnie dążyli na »bander«, unosił się z niej ponad zbożami kurz. Nie było tam jeszcze żadnych zabudowań. Zakręt młynówki zwany »kanapką«, pamiętny dla mnie, tam bowiem za jednym razem nauczyłem się sztuki pływania. Starszy o kilka lat odemnie kolega, korzystając z chwili, gdy w koszuli przykucnął na brzegu i przypatrywał się arcydziełom pływaków, wtrącił mię znienacka w toń. Instynkt samozachowawczy wprawił ręce i nogi moje w ruch pływakom właściwy, ale przestrach sparaliżował słabe mięśnie dziesięcioletniego malca. Zacząłem tonąć. Kolega wskoczył wtedy za mną i przy pomocy towarzyszy wyciągnął mię na płytsze miejsce. Nalało mi się nie tylko do uszu, ale i do gardła. Ten radykalizm nauczył mię odwagi, spoufalili z wodą. Rzuciłem się zaraz sam w objęcia »kanapki«, a po roku uchodziłem między kolegami za jednego z najdzielniejszych pływaków.

Od drogi na »bander« aż do kapliczki (dziś jeszcze istniejącej), naprzeciw realności Ziemniaków ciągnęła się po lewej stronie gościńca przemyskiego dobrze udeptana i szeroka ścieżka, ulubione miejsce codziennej nadwieczornej przechadzki ks. dyrektora Barewicza. Po tej ścieżce przesuwali się od maja do pierwszych dni lipca w porannych godzinach przed nauką szkolną postacie zatopionych w książkach studentów gimnazjalnych, którzy mieszkali w zachodniej stronie miasta.

Wracamy Przemyską i Spytką z Melsztyna do miasta. Wchodzimy do rynku. Ten sam kwadrat z przed 50-ciu lat z tym samym charakterystycznym ratuszem. Wieża jakby w toku planowanej budowy przerwana, wystrzeliła prętem, na którym zawieszony ten sam wiecznie uciekający jeleń, złotą strzałą przez szyję przeszyty. A jednak nie ten sam rynek. W »normalkach« opisywaliśmy go często na zadanie jako kwadrat »samemi jednopiatrowemi kamienicami zabudowany«. Dziś sześć kamienic wzniosło się o jeden szczebel nad swe towarzyszki, sam zaś plac (dawniej za targowicę służący) przemieniony w istny park z alejami i klombami. Tam, gdzie za moich czasów wrzeszczały w dni czwartkowe pejsate żydziaki »siryki lude hej«, rozchodzi się dziś

z krzewów śpiew szczygłów, czyżyków i sikorek. Znikły także podcienia, które dawniej rozciągały się w południowej stronie rynku od Nr. 3 do 15 i w części zachodniej między ulicami Bernardyńską a Spytka z Melsztyna. Targowicę i postój fur w czasie targów przeniesiono z rynku na »blich«. Dzielnica ta tworzyła za moich czasów cuchnące trzęsawisko, otoczone domkami pełnymi brudu, nędzy i upodlenia.

Około wschodnio-południowego rogu rynku skręcamy w ulicę Jagiellońską. Tu myśl i oczy nasze wzlatują w górę, bo za chwilę ujrzymy świątynię Pańską, serce duchowe Sambora. Już wchodzimy po szerokich schodach do wielkiej gotyckiej budowli, do kościoła farnego. Instynktownie gną się kolana a usta szepcą dziękczynienie za wiek przeżyty i westchnienie do Najwyższego za tych, którzy nas tu modlić się uczyli. Wstaję i rozglądam się wokoło. Te same ołtarze, na które z takim niegdyś podziwem patrzyłem. Ale ściany puste. Ze smutkiem odczuwam brak szczególnie jednego obrazu, który wisiał obok dawnej ambony (naprzeciw dzisiejszej). Na nim klęczał pod krzyżem w polu lniano-włosy chłopak, a tam w dali złotoskrzydlny anioł orał jego wolkami. Obraz ten, który zobaczyłem wkrótce po przybyciu mojem do szkół, dopiero w czwartej normalnej zrobił na mnie wrażenie. Uczyłem się wtedy, już na rok naprzód wiersza »Święty Izidor« Morawskiego. Nie umiem opisać zajęcia, z jakim wpatrywałem się w ten cud, przekonany w duchu, że go malarz zdjął z natury. A jaką dumą napawała mię myśl, że deklamować będę zdarzenie przedstawione w naszym studenckim kościele. W kilka miesięcy później recytowałem ten wiersz wobec siedzącego na szkolnym »gradusie« samborskiego aeropagu. Mam schowany na pamiątkę obrazek, który dostałem w owym dniu od księdza katechety Gąska z napisem na odwrotnej stronie: »nagroda pilności 13/7 1875«. Półwiekowy upływ czasu nie zatęł w pamięci mojej owej chwili. Dziś jeszcze widzę siebie jako dwunastoletniego chłopaka, stojącego »na środku«, czuję oczy wszystkich gości na mnie zwrócone i zdaje mi się, że słyszę jeszcze teraz, jak ongi, przyspieszone tętno serca mego.

Świątynia ta służyła za moich czasów tylko »normalkom« i szkole żeńskiej za urzędowe miejsce modlitwy, dla gimnazjalistów przeznaczony był kościół Bernardynów. Tu przez całe ośm lat śpiewałem w czasie mszy studenckiej na chórze pod batutą profesora szkoły wydziałowej Bilikowskiego, Rusina. Brak głosu

wynagrodziła temu profesorowi natura dwoma niemniej cennymi talentami: znakomitym słuchem i czuciem muzycznym. Próbował on także sił swoich w kompozycji, a był w tym względzie bardzo czuły na pochwały. Zostawił po sobie pamięć człowieka delikatnego i taktownego.

Z dawnego otoczenia kościoła parafjalnego pozostała plebanja, która dziś jeszcze wygląda z daleka na letni pałac jakiego księcia udzielnego (wnętrze mniej wspaniałe) i organistówka na szkarpie. Znikł domek kościelny, który stał w południowo-zachodniej stronie od plebanji. Prawa strona ulicy Jagiellońskiej, naprzeciw szkarpy, dziś kamienicami zabudowana, szpetny za moich czasów drzedstawiła widok. Stał tam w górnej części jeden tylko domek, od którego spadał w dół ulicy szerniały, podziurawiony parkan. Za tą wcale niedyskretną zasłoną widać było dyle, podpierające tylne ściany nędznych domków, nad urwiskiem zwisających. Młyn pozostał na dawnym miejscu, przybrał tylko więcej cywilizowany wygląd, stosując się do swoich sąsiadów po prawej stronie i z przeciwka od strony miasta, gdzie za moich czasów stały domki do kucz raczej, niż do ludzkich mieszkań podobne.

Ze wszystkich dzielnic miasta najwięcej się zmieniła ulica Drohobycka. Jeszcze w r. 1884 nie miała ona prócz »sądu kryminalnego« żadnej piętrowej kamienicy i kończyła się przy mostku za cmentarzem. Sąd obwodowy i więzienia mieściły się w starych budynkach, pozostałych po zniesionym klasztorze Bernardynów. Dość obszerny kompleks zabudowań wraz z ogrodem otoczony był starym murem, do którego od strony ulicy Drohobyckiej przytykał publiczny wązki ogród spacerowy, zwany »ogrodem kryminalnym«. W północnym murze, tam, gdzie przytykały doń sztachety ogrodu kryminalnego, znajdowała się brama z dzwonkiem, przez którą wchodziło się na obszerne podwórze. Tu wychodziły okna głównego budynku sądowego. Po prawej ręce od bramy kryła się w głębi szopa bez ściany frontowej, w której prócz innych rzeczy przechowaną była także wielka »gromadzka« trumna zamykana wiekiem na zawiasach, wewnątrz skrzepłą krwią ludzką poplamiona. Jako student pierwszej gimnazjalnej przychodziłem nieraz do zarządcy więzień, którego żona na prośbę mojej matki przyjęła moralną nademną opiekę. U niej mieszkał jej krewny a starszy mój kolega i jego to protekcji zawdzięczałem poznanie niektórych tajemnic »kryminal-

nych». W owej wstrętnej pace chowano a raczej przenoszono na cmentarz tych więźniów, dla których rodzina o własną trumnę postarać się nie mogła. Towarzyszyłem raz takiemu żałobnemu orszakowi. Na przodzie niosło trumnę czterech arezszantów w zgrzebnem szarem ubraniu i w drewnianych sandałach, za nimi zaś postępowali dwaj ich koledzy z łopatami na ramieniu. Pochód zamykał »wechter« z gwerem. Do nich i ja się przyłączyłem. Nie zapomnę nigdy tego odrażającego widoku, jak arezszantci ustawioną na mogile trumnę raptownym ruchem przewrócili, a trup tylko bielizną okryty wpadł do grobu głową na dół tak, że wysterczające z grobu nogi łopata mu do środka wtlaczano. Później zarzucono ten niekulturalny i sanitarnym wymogom przeciwny sposób grzebania. Znalazły się fundusze na to, aby każdy zmarły więzień w osobnej trumnie był chowany.

Tak jakoś murów pobernardyńskich, jak i ich rozmiary nie odpowiadały już wówczas przed pół wiekiem higienicznym i policyjnym wymogom. Ciasno, ciemno i wilgotno było w nich sługom Temidy. To też z początkiem XX wieku stary »sąd kryminalny« znikł z powierzchni ziemi, a z nim i »ogród kryminalny«. Dzisiejszy gmach »sądu okręgowego« zajął południową część dawnego sądu, ogrodu sądowego i ogrodu kryminalnego, resztę miejsca zamieniono na otwarty plac przed budynkiem, co nadało tej kasarnianej zresztą budowli prócz pożądanego powietrza i widoku także pewną okazałość. »Ogród kryminalny« wiecznie zaśmiecony służył za moich czasów niższo gimnazjalistom w miesiącach letnich od maja do wakacji i we wrześniu za miejsce do nauki w porannych godzinach. W maju życie tu kipiało. Na kasztanach i klonach brzęczały pszczoły, śpiewało ptactwo, spodem zaś szumiał różnogłosy szmer w polskim, niemieckim, łacińskim i greckim języku. Pospolite małomiasteczkowe domki, niektóre z nich nędzne, w ziemię wpadnięte, tworzyły dalszą część ulicy Drohobyckiej. Kresem jej i doczesnego bytu wszystkich Samborzan był przed pół wiekiem i przez szereg jeszcze lat następnych, cmentarz. Stał wprawdzie za cmentarzem jeszcze jeden domek przy mostku, ale tylko... jeden. Na przestrzeni między mostkiem za cmentarzem a »Wychylówką« wyły za moich czasów wichry jesienne i huczały zawieje śnieżne. Był tam tylko jeden domek koło figury św. Jana (dziś jeszcze istniejącej), którego mieszkańcy uważali się za wygnańców. Dziś rozciągnęła się na tej linii pierwszorzędna ulica Drohobycka pięknymi i gusto-

wnemi willami zabudowana. Ma to być zasługą długoletniego burmistrza samborskiego, adwokata Steuermana. Tak powstała prawdziwie na świeżem powietrzu nowa dzielnica miasta z widokiem ku południowi na północne stoki Karpat, a ku wschodowi na rozległą naddniestrzańską równinę.

Wracamy jeszcze raz do rynku, aby się stąd udać na czwartą i ostatnią główną arterję ze środka miasta wychodzącą. Jest nią ulica Lwowska (dziś Kościuszki). Tu na rogu rynku, po lewej ręce mieścił się jedyny wówczas katolicki sklep żelazny Bukietyńskiego (dziś sklep korzenny Ludwika Reichhardta). Bukietyński miał także na składzie trumny metalowe (wielka rzadkość w Samborze w owych czasach). Ponury ten lokal, którego okno zasłaniała trumna wystawowa, iście grobowe robił wrażenie. W miejscu, gdzie dzisiaj hotel »Imperial«, był plac w porze dżdżystej błotnisty i cuchnący. Po przeciwnej stronie od wschodniego rogu uliczki ks. Jedlińskiego aż wokoło do kamienicy naprzeciw willi dra Turka ciągnął się nieprzerwanie parkan okalający sad łąc. probostwa. Ozdobą i zaszczytem tej ulicy był ongi a poniekąd i dziś jest jeszcze pałac jaśniejący po lewej ręce na pierwszym skrócie tej ulicy, z arkadą na wjazd powozów przeznaczoną (dziś kamienica Nr. 7 oznaczona, własność adwokata Aleksandrowicza). Był to ostatni dom piętrowy po lewej ręce na tej ulicy. Na dalszej przestrzeni zasługiwał na uwagę jeszcze tylko dom fizyka dra Turka w ogrodzie na pagórku dziś jeszcze istniejący, własność Heleny Dębickiej. W miejscu, gdzie dziś gmach dyrekcji skarbowej, zwisała poszarpana szkarpa ogrodu »dyrekcji finansowej«. Stąd aż do ogrodu miejskiego stały po obu stronach ulicy w większych lub mniejszych ogródkach niskie, skromne i bardzo wilgotne domki.

Dzisiejszy ogród miejski tworzył w r. 1872 pastwisko tu i owdzie wyniosłemi wierzbami i brzozaami porośłe. Stacja kolejowa znajdowała się w tem samem, co i dzisiaj miejscu, budynek jednak był o połowę może mniejszy od obecnego. Przy drodze, łączącej wzdłuż toru kolejowego gościniec lwowski z ulicą Tkacką, nie było początkowo żadnego domu, później dopiero postawiono za mostem, od ulicy Tkackiej licząc, barak »landwerzycki«. Dolna część ulicy Tkackiej od domu dzisiaj Nrem 69 oznaczonego do rampy kolejowej miała wygląd małomiasteczkowego przedmieścia, za rampą zaś rozpoczynała się już głucha wieś. Z dachów chat słomą krytych kurzył się dym, między do-

mami wylegiwały się w błocie świnie, ciszę zaś przerywało gęganie gęsi. Dzielnica ta, która, jak jest dziś, tak i ongi była dalszym ciągiem właściwego przedmieścia samborskiego, nie mogła się wówczas poszczycić, by kiedy choćby o święcie zaglądnął do niej z ciekawości jaki »inteligent« albo mieszczanin. Pod tym względem szczęśliwsze były przedmiejskie dzielnice w środku i w zachodniej stronie położone.

Oto główne kontury Sambora z przed pół wieku w ówczesnych jego granicach od »młyna parowego« na ul. Przemyskiej do rampy kolejowej, zamykającej ulicę Tkacką i od starego cmentarza do cegielni na końcu ulicy Biskowickiej (dziś Jana Kazimierza). Setki razy przebiegłem tę przestrzeń jako student w ciągu jedenastoletniego pobytu mego w tym staropolskim grodzie i każdy niemal kamień tamtejszy budzi we mnie osobne a zawsze miłe wspomnienie beztroskliwej i pełnej nadziei młodości. A ile podniosłych chwil przypomina mi rynek. Tu trzykrotnie w normalkach tworzyłem w czasie uroczystości Bożego Ciała wspólnie z moimi kolegami i całą szkołą wyciągniętą równolegle do »promenady« linję studentów w parach, doznając każdym razem iście niebiańskich wzruszeń. Poważne śpiewy księży i ludu, woń kadzidel i generalne salwy wojska wstrząsały mojem jestestwem, wywołując w duszy mojej święte drżenia. A jaką wielkością był w moich oczach komendant kompanji na koniu. Warszawa w r. 1812 nie spoglądała z taką czcią na Napoleona, jak ja na owego kapitana, komenderującego »generał de charge«.

Na tym rynku we wrześniu 1880 stałem jako członek szpaleru, utworzonego dla utrzymania porządku w dniu przyjazdu cesarza Franciszka Józefa I do Sambora. Gorąca chęć całej ludności ujrzenia ukochanego monarchy swego udzieliła się i mojemu sercu, które prawdziwie młotem biło mi w piersi. Nagle poruszyło się mrowisko ludzkie. Z oddali dochodziły głuche okrzyki »vivat! niech żyje! mnohaja lita!« Podniosły się głowy, naciągnęły szyje. Już blisko, blisko, bo słychać turkot powozów i tentent koni. Instynktownie wleciały w górę kapelusze, otworzyły się usta, a z nich wystrzelił krzyk »niech« i nagle się urwał. A tu wyciągniętym kłusem przejechał szpalerem w kontuszu i kołpaku dyrektor kasy oszczędności miasta Sambora pan Lang. Niejeden jeszcze potem przepędził koło nas powóz z miejscowymi i obcymi dygnitarzami, ucząc nas cierpliwości i przezor-

ności, dopóki wszystkich nie ogłuszył jeden masowy, przeciągły okrzyk wiwatów. Powoli sunął powóz dworski, a siedzący w nim cesarz w uniformie pułkownika samborskiego pułku salutował bez przerwy z uprzejmym gestem. W pokojach samborskiego starosty zamieszkał cesarz z przyboczną świtą. Tu udzielał audjencji miejscowym i okolicznym honoracjom i tu się odbył obiad, na który wielu obywateli z miasta i powiatu otrzymało zaproszenie. Nazajutrz o godzinie czwartej raniutko udał się cesarz do fary na mszę świętą. Drogę do kościoła oświecała młodzież pochodniami. Mnie dostało się miejsce przy samych schodkach kościoła. Miałem sposobność widzieć cesarza o krok. Wydał mi się wtedy młodym jeszcze pułkownikiem.

W roku 1882 późną jesienią, raz o samej północy zgromadziło się na tym rynku »wszystko, co żyło«. Smutna to była noc, pełna płaczu i żalu. Sambor żegnał swoje dzieci, swój pułk, który odchodził do Bośni dla stłumienia tam powstania. Pamiętam dobrze, jak pięknie i poważnie przemawiał z konia komendant po polsku i po rusku do żołnierzy, przypominając im ich obowiązek i jak serdecznie żegnał się z obywatelami miasta. Tłumy ludności z miasta i z dalszej nawet okolicy odprowadziły wojsko na stację kolejową. Gdy pociąg ruszył, powstał żałosny jęk matek i żon. W kilka tygodni później pojawiły się na rynku klepsydry, zawiadamiające o śmierci rezerwowego porucznika Freya, ukończonego słuchacza praw a byłego ucznia samborskiego gimnazjum. Padł ugodzony w serce przez ukrytego za skałą Bośniaka w chwili, gdy jako komendant nocnej straży rozglądał się nad wieczorem po okolicy swego posterunku. Wszyscy go żalowali, panie zaś płakały rzewnie, gdy się rozeszła wieść, że osierocona matka otrzymała z Bośni między innymi pozostałościami po synie swoim także przeszyty kulą portfel, który znaleziono w pierśsiowej kieszonce bluzy poległego oficera. Samborski pułk piechoty Nr 77 torował wtedy innym oddziałom drogę przez lasy i skały bośniackie, ale też najgęściej zaścielił ją swymi trupami. Słyszałem to później jako oficer rezerwy tego pułku od starszych moich kolegów.

II.

Pierwsza część niniejszego pamiętnika okazać nam miała różnicę między dawniejszym a dzisiejszym Samborem co do zewnętrznej jego postaci. W tej części przypatrzymy się, jaką była strona duchowa tego miasta przed pięćdziesięciu laty. Przybywszy w r. 1872 do Sambora, mogłem jako dziewięcioletni chłopak porównywać to miasto jedynie co do jego rozległości i okazałości z wsią i znanem mi dotychczas miasteczkiem Felsztynem. Ocenienie wewnętrznej jego strony było dla mnie rzeczą niedostępną. Ale już w cztery lata później jako gimnazjalista, wchodząc do domów zaliczających się do inteligencji, miałem sposobność zwrócenia uwagi na rzeczy, których doniosłości wprawdzie nie pojmowałem, które jednak zbyt często obijały się o uszy moje, aby nie obudzić w duszy mej ciekawości bliższego przypatrzenia się im i zainteresowania ich istotą i znaczeniem. Do nich zaliczam instytucje rządowe i autonomiczne, towarzyskie zespoły i t. p. Władze państwowe i samorządne istniały wówczas w Samborze takie same, jak i dzisiaj, z większym lub mniejszym od obecnego zakresem działania. Tak np. okręg sądu obwodowego był bez porównania większy, niż dzisiaj. Obejmował on i te powiaty, które obecnie wchodzą w skład sądu okręgowego w Stryju. Granice samborskiego sądu »kryminalnego« sięgały aż pod Stanisławów (w Stryju był tylko sąd powiatowy), a jeszcze w r. 1898 w Skolszczyźnie słowo »sambirczyk« (ten, kto siedział w samborskim kryminale lub powinien był się tam dostać) uchodziło za jedną z największych obelg. Również ilość szkół była niemal ta sama, co i dzisiaj. Sambor miał wtedy jedno tylko gimnazjum, ale była zato niższa szkoła realna. Szkoła żeńska miała siedm klas (mieściła się na łacińskiej plebanji), a jej zakres nauk nie dorównywał zapewne ani w połowie dzisiejszemu. Poświadczyć to może pozostała z ówczesnych nauczycielek

jeszcze przy życiu jubilatka i honorowa obywatelka miasta Sambora, panna Meklerówna. Uchodziła ona już wtedy za siłę poważną i poważaną.

(Wedle sprawozdania Rady szkolnej krajowej za lata 1872 i 1873 miał samborski okręg szkolny, który obejmował także dzisiejsze okręgi starosamborski i turczański, 139 szkół, między niemi jedną siedmio-, jedną pięcio- i cztery czteroklasowe, cztery czysto męskie i dwie czysto żeńskie. Należał on po Lwowie do najlepiej uposażonych okręgów. I tak: stanisławowski okręg miał 171 szkół, między niemi jedną siedmio- i cztery czteroklasowe, trzy męskie i trzy żeńskie — okręg przemyski 134 szkół, między niemi jedną siedmio-, jedną sześć- i dwie czteroklasowe, pięć męskich i pięć żeńskich. Tylko Lwów miasto miało jedną ośmioklasową szkołę. Kraków (miasto) nie mógł się ani jedną choćby siedmioklasową szkołą pochwalić, a cały jego okręg obejmował 94 szkół. Największą ilość szkół wykazał okręg złoczowski, bo aż 274, nie miał jednak ani jednej nawet pięcioklasowej szkoły).

Wymienione szkoły były wówczas jedynymi źródłami, które zasilaly umysły Samborzan w wiedzę. Prócz kółka pedagogicznego, które nader słabe dawało znaki życia, nie było żadnych innych towarzystw oświatowych.

Ogniskiem życia towarzyskiego było »kasyno wojskowsocylilne«. Płonęło ono żarówką tylko w czasie karnawałowym, przez resztę zaś miesiący świeciło światelkiem kagankowem. Kilku stałych preferansistów i tyluż amatorów nowinek gazetarskich odwiedzało je codziennie o jednej i tej samej porze. Szelest gazet i trzask kart były jedynym znakiem życia tej instytucji. Około r. 1880 powstała »czytelnia polska« z inicjatywy tej inteligencji, która do kasyna wejść nie mogła lub nie chciała. Tu czytano jeszcze mniej, niż w kasynie, hulano zato na wieczorkach bez konkurencji. Panie i panowie domatorowie czytali w domu wieczorami tłómaczone z obcych języków romanse, które wychodziły jako dodatek do »Bluszczu«. Rzadko kiedy spotkać można było w lepszych domach jaką powieść Kraszewskiego lub Zacharjasiewicza. Gazeta była rara avis. Na palcach policzyłbyś był te domy, które prenumerowały »Narodówkę«. Innych dzienników nie znano. »Czas« zaś odważył się trzymać ks. Barewicz, dyrektor gimnazjum i, o ile wiem, był on pod tym względem jedynym śmiałkiem na cały Sambor. Zresztą nie tylko nie poczuwano się do obowiązku popierania dziennikarstwa, ale

naogół nie odczuwano nawet potrzeby usłyszenia o tem, co się działo w świecie, a choćby tylko we Lwowie. Słyszało się często, że Sambor lubi być arystokratycznym, w rzeczywistości była to tylko zaściankowość, zasklepienie się w kółku najbliższych znajomości i codziennych potrzeb. Miara obojętności ówczesnej inteligencji dla dziennikarstwa wogóle będzie może następujące zdarzenie. Pewnego dnia spotkałem starszego kolegę mego, będącego już we wyższym gimnazjum. Smutna jego mina, pochylona głowa a szczególnie sińce na jego ręce i szyi zdziwiły mię. Na moje zapytanie odpowiedział mi, że wuj jego, u którego on był na utrzymaniu, pensjonowany kapitan, spotkał go czytającego gazetę. Widokiem tym tak się zgorszył niewinny pod tym względem wujaszek, że aż harapem wojskowym udzielił wychowankowi admonicji, którą zakończył uwagą, że on przecież wszystkie lata wojskowe wysłużył, a mimo to gazety w ręku swem nie miał. Były to pozostałości z owych czasów pierwszej połowy XIX stulecia, kiedy społeczeństwo galicyjskie pogrążone było w apatii wobec potrzeb duchowych, a kalendarz stanowił całą niemal literaturę polską w tej części dawnej Polski. W roku 1872 Lwów już nietylko gadał, ale i działać zaczynał, podczas gdy prowincja budziła się dopiero z przeszło półwiekowego letargu. Przyczyniał się do tego stanu po części i brak komunikacji kolejowej. Wszak w jesieni r. 1872, gdy przybył do Sambora, nie miał on żadnego jeszcze połączenia kolejowego. Trasa od strony Chyrowa była już bliską ukończenia, ale na nasypie od ulicy Tkackiej do stacji kładziono dopiero szyny. W jakie dwa miesiące później przyszedł pierwszy pociąg z Chyrowa z zaproszonymi na tę uroczystość gośćmi. Dolna część ulicy Tkackiej jawiła się w tym dniu u rampy w pełnym komplecie ze wszystkimi dziećmi, a nawet z niemowlętami na rękach. Ważny ten dla rozwoju miasta wypadek »publika« rozmaicie sobie komentowała. Zapamiętałem z owej rozmowy tylko ten ustęp, że tym pierwszym pociągiem wolno każdemu jechać za darmo, a to dlatego, że taki pociąg może się jeszcze wykołieć.

Dobłą stroną owej zaściankowości była skromność, zwłaszcza u pań, w strojach i zabawach. Nawet na publiczne bale chodziły panie w sukniach spacerowych. Nie jeżdżono do stolicy na opery i zadowalniano się wędrownym teatrem, który zawsze w poście, albo w lecie na kilka tygodni do Sambora przyjeżdżał. Tu pozwolę sobie przytoczyć znowu jeden przykład. Oto razu

pewnego usłyszałem w jednym z lepszych domów urzędniczych, jak zazdrozczono profesorstwu Sołtysom, że są bezdzietni, majątni, trzymają „obywatelczuków“ na stacji, i że co rok jeżdżą do Lwowa. Rzeczywiście profesor gimnazjalny Sołtys, w którego domu udzielałem przez kilka lat lekcji, każdego roku w czasie wielkanocnym wyjeżdżał z żoną do Lwowa, oboje bawili tam



Rynek samborski z czasów późniejszych, gdy na północno-wschodniej jego części założono skwer.

przez kilka dni i uczęszczali na przedstawienia do teatru Skarbka. Inni profesorowie lub urzędnicy raz na jakiś dziesięć lat koniecznością zmuszeni Lwów odwiedzali, starając się ograniczyć swój pobyt tamże do niezbędnej potrzeby. A co się działo w ostatnich latach przedwojennych? Najniższych funkcjonariuszy państwowych żony jeździły co sezon do Lwowa po... nowy kapelusz. W każdym zawodzie życie nad stan stało się później wskaźnikiem dla szanującego się człowieka. Nie dziw, że we Wiedniu nie pojmowano, dlaczego 90% galicyjskich urzędników było niewolnikami banków i lichwiarzy.

Dodatkim także skutkiem ówczesnego domatorskiego życia nazwać się godzi gorliwsze zajmowanie się rodziców swoimi dziećmi. Ojcowie spełniali wobec synów swych rolę instruktorów. Byli tacy, którzy codziennie z synami uczyli się rozmaitych wy-

jątków gramatycznych, matki zaś stały na straży dobrych obyczajów. Pod tym względem przykład szedł z góry. Niższe sfery urzędnicze starały się naśladować wyższe warstwy i niejeden dziwiejszy paniczek radcowski mógłby się uczyć delikatności i uprzejmości od ówczesnego maturzysty, którego ojciec był tylko sługą sądowym. Trafiały się i wtedy wypadki, że młodzieniec sobie pozostawiony, jakiś sierota pozbawiony anioła stróża zboczył z drogi cnoty, były to jednak tylko wyjątki. Raziły one zdrowe otoczenie, które przywoływało do siebie zbłąkanego towarzysza i trzeźwiło go budząc w nim świadomość złego postępku. Rzadsze o wiele były wypadki zupełnego zepsucia, zgnilizny już z gniazda wyniesionej. Tacy ginęli strasznie ku przestrodze starych i młodych.

W pierwszych dniach grudnia 1879 zaciekały Samborzan wielkie różnokolorowe afisze gęsto po mieście porozlepiane. Były one dwojakiego rodzaju. Na jednych bił w oczy dużemi literami wydrukowany napis „drukarnia“, na drugich wabiły kolorowe słowa „biblioteka domowa“. Ogłaszał te nowiny Czaiński, właściciel nowopowstałej w Samborze drukarni i wydawca „biblioteki domowej“. Przybyły naraz miastu dwie dzwignie cywilizacyjne. „Bibliotece“ szczególnie należy się ten zaszczytny dodatek. Taniością (kosztowała miesięcznie 55 centów) i tem udogodnieniem, że wychodziła co tydzień w sobotę w dwuarkuszowych zeszytach, zwała ona do siebie nawet tych, którzy dotychczas należeli do przeciwników słowa drukowanego i w krótkim czasie rozeszła się po całej Galicji. Nie celowała „biblioteka“ treścią doborową, podając czytelnikom swoim przeważnie romanse francuskie mniejszej wartości i rzadko kiedy w poprawnem tłumaczeniu, ale zasługą jej i to nie małą było to, że nauczyła zakładać biblioteczki domowe takie rodziny, które dotychczas kalendarzem się zadowalniały. Właściciele tych biblioteczek bądź z ciekawości, bądź z ambicji powiększali je potem dziełami naszych pierwszorzędných pisarzy. Jeżdżąc później jako sędzia po komisjach spotykałem często takie księgozbiory w domach prywatnych oficjalistów. I dziś jeszcze na prowincji chodzą po ludziach tomiki „biblioteki domowej“ i mile są widziane. Zaraz po odczytaniu prospektu „biblioteki domowej“ postanowiłem ją zaprenumerować, by powiększyć moją biblioteczkę składającą się z tomików „biblioteki Mrówki“, namówiłem także kolegę Magońskiego (dziś notariusza w Trembowli) i obaj udaliśmy się do drukarni Czaińskiego. Pamiętam dobrze, z jakim drżeniem serca prosiłem tego pana, by nas jako pre-

numeratorów jego wydawnictwa nie zdradził. Powodem tego strachu była okoliczność, że prospekt zapowiadał romanse francuskie, a myśmy rozpoczynali dopiero czwartą gimnazjalną. Czaiński uśmiechnąwszy się dobrodusznie zapewnił nas solennie, że prócz niego nikt o tej „tajemnicy“ wiedzieć nie będzie. W kilka lat później przeniósł Czaiński swoją drukarnię i „bibliotekę domową“ do Gródka Jagiellońskiego. Tu przez długie jeszcze lata kierował osobiście aż do śmierci swojej drukarnią i sam wybierał dzieła do swojej „biblioteki“, którą starał się w miarę sił swoich ulepszać. Była to sympatyczna postać, człowiek zwykłych zdolności, ale duszy wznoszącej się ponad poziom drukarza przedsiębiorcy. Zawsze uśmiechnięty, pogodny, w obejściu grzeczny, uprzejmy. Później, będąc sędzią w Sądowej Wiszni, wchodziłem i ja z nim w styczność drukując u niego moje drobnostki i zawsze z przyjemnością zbliżałem się do niego. Miłą także była jego małżonka. Jako bezdzietni spędzali oni każdą niedzielę i święto we Lwowie na artystycznych rozrywkach.

Mówiąc o życiu duchowem Sambora, czy podobna pominąć osoby, które życiu temu kierunek nadawały i na jego rozwój bezpośrednio, czy pośrednio z większą lub mniejszą siłą wpływały?

Proboszczem polskim był przed pół wiekiem ks. Paweł Jedliński. Dobiegał on w ósmym dziesiątku zeszłego wieku kresu długiego żywota swego. Zapamiętałem go już jako starca przechodzącego w okres dzieciństwa. Trzy razy widziałem go na naszych egzaminach w normałkach. Na zakończenie każdego z tych egzaminów podnosił się chudy, wysoki ks. kanonik i przeżegnawszy się wielkim krzyżem wzywał nas do pomodlenia się, by mu Bóg pozwolił przeżyć dziewiąty krzyżyk. Umarł prawie równocześnie z Piusem IX. (Jak wskazuje tablica pamiątkowa, umieszczona we farze po lewej stronie presbiterjum, tuż obok ołtarza, ks. Jan Paweł Jedliński urodził się w Nienadowej dnia 26 czerwca 1790, wyświęcony na kapłana 15 listopada 1815. Był emer. prof. teologii, inspektorem szkolnym, wicedyrektorem gimnazjum, a wreszcie proboszczem i dziekanem samborskim. Nadto był kawalerem orderu Franciszka Józefa i honorowym obywatelem miasta Sambora. Umarł 21 paźdz. 1877). Następca jego ks. Smoliński, poważny kapłan, pracował tylko w ścisłem kole swego powołania. — „Ruski“ proboszcz ks. Nestorowicz cichy, dobroduszny, znanym był jako przyjaciel młodzieży. Gimnazjalistów śpiewaków zapraszał zawsze „na Jordań“ do siebie wspólnie

z profesorami i serdecznie ich ugaszcział. I ja dostąpiłem raz tego zaszczytu.

Rządy miasta spoczywały przez wszystkie lata pobytu mego w Samborze w ręku notariusza Kasparka. Miał on prócz przyjaciół także wielu nieprzyjaciół, a fakt ten, jak i długoletnie jego prezydowanie świadczyły, że umiał być sobą. Kolegowałem w normalkach z jego synem Feliksem, zdolnym chłopcem, ale pierwszym wisusem i pierwszym nieukiem, a mimo to pierwszym celującym w klasie. Stopień ten był ścisłą konsekwencją urzędu jego ojca i nikt się w klasie temu nie dziwił. Dopiero gimnazjum okazało mi inną pod tym względem sprawiedliwość.

Starostą był Hordyński szlachcic ruski, który pokazywał się narodowi tylko na Boże Ciało i na Jordań. Nikt źle o nim nie mówił.

Sąd reprezentował prezydent Dittrich, mężczyzna okazały, mąż prawy i dobry urzędnik, ale jak mówiono, słabej woli, wskutek czego dawał się powodować osobnikom przewyższającym go pod tym względem, ale niepewnym co do charakteru. W urzędowaniu mówił zwyczajnie do sędziów po niemiecku.

Na czele dyrekcji skarbowej stał Michalewski, szlachcic polski. Piastował on swój urząd, jak na dyrektora i szlachcica przystało.

Nie było za moich czasów i długo, długo jeszcze po mnie bardziej znanej w Samborze osobistości, jak ks. Herman Kulisch. Chciwy władzy i znaczenia umiał on osiągnąć to, czego pragnął. Należał do wszystkich towarzystw, komitetów, deputacji i t. d. a tak był ruchliwy, że zdawało się niepodobnem wynaleźć taką chwilę, aby nie ujrzeć ks. Kulischa przebiegającego z jednej strony rynku na drugą. To też słyszało się nieraz zdanie, że takie wszędobylstwo nie jest dla kapłana rzeczą przystojną. Na nim znalazła potwierdzenie zasada higieniczna, że ruch życie przedłuża. Ks. Kulisch był wiecznym. Gdym w r. 1872 przybył do Sambora, stał on już na czele szkoły żeńskiej jako jej dyrektor i wkrótce potem został inspektorem okręgowym, a umarł dopiero 24/10 1917 w 78-mym r. życia pełniąc do ostatniej niemal chwili rozliczne urzędy.

O panie Meklerównie wspomniałem już poprzednio. Tutaj godzi się dodać, że znakomita ta nauczycielka powołaną została zaraz po ustąpieniu ks. Kulischa na posadę dyrektorki szkoły żeńskiej, który to urząd dotychczas bez przerwy mimo przeszło

50-cio letniej swej służby nauczycielskiej chlubnie sprawuje. Zawsze nawpół uśmiechnięta, a jednak poważna, budzi ona u każdego zaufanie. (Rada miasta Sambora uchwałą z dnia 7/5 1924 nadała tej dzielnej nauczycielce za zasługi na niwie oświaty honorowe obywatelstwo swego grodu).

Szczupłe było grono ówczesnej palestry samborskiej. W porównaniu z dzisiejszą liczbą adwokatów była to garstka. Okoliczność ta tylko do powiększenia znaczenia i powagi tego stanu przyczynić się mogła. Byli to ludzie mąż w męża. Największym jednak szacunkiem cieszyli się Pawliński (marszałek powiatu) i Witz (starszy).

Gdym był już we wyższym gimnazjum, utworzono w Samborze drugi notarjat, który otrzymał rejent Budzynowski. Miał on czterech czy więcej synów gimnazjalistów, z których każdy grał na kilku instrumentach. Artystyczna ta rodzina tworzyła całą orkiestrę.

Na szczególne wspomnienie zasłużył sobie mąż z pozoru niepokąźny a nawet odrażający. Każde dziecko w Samborze znało go, a jednak mało było takich, którzyby chcieli i umieli ocenić i uznać wartość tego człowieka. Był nim G. Kohn literat. Mieszkał przy bracie adwokacie, ale rzadko kiedy mogłeś go spotkać w Samborze. On kaleka z powykręcanymi nogami i garbem na plecach był wiecznie w drodze już to na swoich dwóch kulach, już też z nimi trzymając je przy sobie, gdy jechał, lub w znajomych sobie domach w sprawie swych wydawnictw konferował. A ile on miał tych znajomości! Nie było miasteczka w Galicji, któregooby on raz na rok nie odwiedził i w którymby jednego przynajmniej nie miał domu „swojego“. Niemale są jego zasługi na polu piśmiennictwa prowincjonalnego. W swoich „rocznikach samborskich“ pomieszczał on prace początkujących i przygodnych pisarzy. Wielu z nich kończyło karierę swoją na pierwszej próbie, ale pozostawał w nich duch literacki, zamiłowanie do słowa drukowanego, do lepszego stylu, przez co szerzyła się w kraju kultura literacka. W rocznikach tych znaleźć można przeróżne co do jakości i wartości plody literackie. Obok nowelek, poezyj i urywków dramatycznych pomieszczone są tam sprawozdania ze zjazdów pedagogicznych, opisy miejscowości, kazania patryjotyczne, myśli filozoficzne, szkice biograficzne itp. Największą częśćką zajęła miłość własna autorów. Poźniej prze-

niósł się Kohn do Lwowa, nie zarzucił jednak swego wydawnictwa, zmienił jedynie nazwę jego na „Zdrowie“.

Między przemysłowcami i mieszczanami wyróżniali się Haisig księgarz, którego czysty zawsze lokal odwiedzali chętnie księża i profesorowie (studenci stronili odeń z powodu drwinek, na jakie sobie ten obywatel wobec nich pozwalał), dalej aptekarz Maresch, masarze Jakóbczak i Adamowski, kupcy Bukietyński zawsze w czamarę ubrany, i Kromer, w którego handelku schodzili się śniadankiewiczze ze „śmietanki“ samborskiej. Żydowski mieszczański szczycił się Gotthelfem właścicielem tzw. „składu“ (wielkiego sklepu zapelnionego towarami wszelkiego rodzaju). Skład ten mieścił się w rynku w kamienicy profesora Bartkowskiego. Tam latem i zimą siedział pod oknem pochylony nad księgami siwowłósy starzec jakby jaka postać z zamierzchłych czasów, głuchy na wszystko, co się wokoło niego działo. Zdawało się, że staruszek ten już dawno zapomniał o świecie, a jednak wszystkie nici łączące jego firmę ze światem kupieckim w jego drżących skupiały się rękach. Po jego śmierci Sambor przez długi czas mówił o jego testamencie. Ten z pozoru prosty żyd zadziwił uczonych mędrków rozumem i szlachetnością swej duszy. Cały swój olbrzymi niestrudzoną do śmierci pracą zdobyty majątek przeznaczył on na cele powszechnej użyteczności. Jeden z jego zapisów powołał do życia szkołę handlową w Samborze, w której wedle rozporządzenia fundatora pobierać miała naukę młodzież bez różnicy wyznania i narodowości. Instytucja ta mimo europejskiej zawieruchy ostała się i dotychczas spełnia wolę swojego założyciela.

Z pośród szlachty okolicznej dodatniem echem obity się o uszy moje następujące nazwiska. Na czele stawiam trzech braci Sozańskich, Sylwerjusza (właściciela Błazowa i Woli Błazowskiej), Antoniego (właściciela Sozania — miejsca mojego urodzenia — Kobła, Torchanowic, Baczyny i Waniowic) i Celestyna (właściciela Kornalowic, Hordyni, Chlipel i Sutkowic). Wszyscy oni zasłużyli się sprawie narodowej uczestnicząc w powstaniach 1848 i 1863 r. tak materjalnie, jak i pracą w organizacjach. Osiadłszy później na roli nie przestali w miarę sił swoich służyć dalej swemu społeczeństwu. Antoni pisał broszury polityczne. Nie były one snąć bez znaczenia, jeżeli na autora ściągnęły kilka razy prześladowanie a nawet więzienie. Próbował on także sił swoich na polu literackiem tłómacząc Machiawella itp. Pana Sylwerego miałem

szczęście poznać na sześć lat przed jego zgonem. Nigdy przedtem i później nie spotkałem człowieka równej dobroci i łagodności serca i tej słodczy charakteru, która najtwardsze miękczy dusze i na dziczkach umie szczepić kwiaty przyjaźni. Urodzony w pamiętnym 1812 roku był świadkiem niejednego zdarzenia i wypadku mającego w historii „Galicji“ pierwszorzędne znaczenie, a pamiętał takie rzeczy, które dzisiejszemu pokoleniu wydadzą się zapewne niepojętymi. Oto pewnego razu opowiadał mi, jak to on jechał ze Sambora własnymi końmi na kurację do... Karlsbadu. Jedyny jego syn, zmarły przed dwoma laty, Michał, znany był w świecie artystycznym jako niepośledni akwarelista. Starsza córka, żyjąca jeszcze, Magdalena Woźniakowska, całem swem życiem zasłużyła sobie na to, aby nie moje, ale godniejsze pióro oddało cześć zaletom jej serca i umysłu. Węzły, które od blisko czterdziestu lat łączą mię z jej rodziną i uczucia, jakie żywię dla całego jej domu, nie pozwalają mi jednak pominąć milczeniem jej wszechstronnego wykształcenia, bystrego umysłu, szerszego poglądu na rzeczy i ludzi i trafnego o nich sądu. Do zawiązywania bliższych znajomości nie łatwa, jeżeli jednak kogo cenną swą przyjaźnią obdarzy, wiernie jej dochowuje. Każdy, kto się do niej zbliży, musi uznać jej rozum i takt udelikacyony szlachetnym sposobem myślenia. Młodsza córka śp. Sylwerego, Olga Oczosalska-Cetner, uposażona od natury rzadką urodą, umiała wychować swoje córki na skromne i rozumne panienki. Bardzo wczesnie zostały one żonami i matkami, przyświecając swym rówieśniczkom pięknym przykładem w obu kierunkach.

Właściciel Nadyb i Wojutycz Kazimierz Mniszek-Tchorznicki miał sławę pierwszego w Samborszczyźnie gospodarza. O żonie jego Helenie z hr. Stadnickich lud tamtejszy dotychczas wspomina jako o swojej dobrodziejce. Na to zaszczytne miano zasłużyła sobie ta wielkoduszna pani czynami iście ofiarnymi. Zrodzona i wychowana na salonach, spędziła większą część życia swego w kurnych chatach przy chorych i kalekach. Syn ich i następca na dziedzictwie Władysław, zmarły w listopadzie 1924, pozostawił po sobie pamięć prawego obywatela, pana sprawiedliwego i wysoce religijnego człowieka.

Z obywateli ziemskich najczęściej widzianym był w Samborze właściciel Wykoł, Balicki. Brał on chętnie udział w każdej sprawie publicznej i zyskał sobie pod tym względem pewną popularność. Wreszcie w pamięci gimnazjalistów zapisał się sym-

patycznie Karol Barański z Radłowic, który chętnie udzielał uczniom pozwolenia na zbieranie w swych lasach roślin i owadów.

Jak dziecko najsmaczniejsze ciastko na koniec sobie zostawia, aby ostatni kąsek był mu najprzyjemniejszym, tak i ja pragnę koniec tych wspomnień moich umilić sobie i moim kolegom przypomnieniem osób, których pamięć po rodzicach powinna nam być najdroższą. To nasi profesorowie.

„Grób jest zazwyczaj tym tygielkiem Biblii, który z kruszcu same tylko oddziela i widzieć daje złoto. Wszystkie słabości, małości, dziwactwa znikły nam z oczu...“. Te słowa Klaczki (artykuł jego w Paryskich „Wiadomościach Polskich“ z 26-go lutego 1859 o śmierci Z. Krasińskiego — „Przegląd Polski“ z marca 1908 str. 453) komuż lepiej przystoją, jak nie ceniom naszych rodziców i nauczycieli? Widzę ich wszystkich przed sobą w pełni sił fizycznych i umysłowych. Z oczu ich czytam dziś tak, jak i ongi niewinna dusza dziecka czy młodziana z wdzięcznem sercem to czytała, wszystkie te piękne myśli i zasady, które oni głosili i w nas wpajali.

W poważnem tem gronie wyróżnia się postawą i charakterystycznym obliczem ksiądz ruski. To dyrektor gimnazjum Barewicz. Przez cały czas mojej ośmioletniej nauki w samborskiem gimnazjum stał on na czele tego zakładu. Miałem tedy czas poznać tego męża, a i sposobności ku temu nie brakło, w szóstej klasie bowiem był on przez cały rok naszym profesorem języka greckiego. Ksiądz Barewicz miał sławę niepospolitego greka i władał kilku oświeconemi językami w stopniu przechodzącym miarę dyletantyzmu. Aleć nie to stanowiło jego wartość. Mamy wielu światłych profesorów gimnazjalnych, a mimo to społeczeństwo cierpi na brak zdolnych nauczycieli. Umieć uczyć, to rzadki i cenny dar. Talent ten, połączony z pracą i chęcią udzielenia drugim własnych wiadomości, podnosi profesora do rzędu mężów dla ojczyzny zasłużonych. Uczniowie ks. Barewicza nie tylko umieli to, co plan nauki dla ich klasy przepisywał, ale potrafili w ciągu jednego roku wynagrodzić zaniedbania lat poprzednich. Ks. dyrektor opierał metodę swoją na pracy uczniów w domu i w pracę jedynie wierzył, na wszelkie zaś wysoki tw. geniuszu patrzył sceptycznie. Pracy uczył własnym przykładem, przygotowując się do każdej lekcji jak student. Syn ks. Barewicza, starszy o rok od nas, który później był także profesorem gimnazjalnym we Lwowie, pokazywał nam, gdyśmy byli w szóstej klasie, kajety swojego

ojca, w których on własnoręcznie a nader pracowicie wypisywał trudniejsze słówka greckie z podaniem ich rozmaitych znaczeń w polskim języku. I ks. Barewicz uczniowie różnili się znacznie między sobą co do wiedzy, ale pod względem pracy stali wszyscy niemal na jednym poziomie. Czynniki ten równał kolegów



Ks. TOMASZ BAREWICZ

dyrektor gimnazjum samborskiego w latach 1874—1889.

Umarł w Samborze w r. 1894 przeżywszy 58 lat.

rozmaitego stanu i różnych zdolności. Tu najdobitniej przejawiała się wartość pracy i etyczne jej znaczenie w szkole i w życiu. Uczniowie poznawali naocznie to, co im dotychczas w teorii wystawiano — pracę jako cnotę. A to rozwarcie oczu i rozjaśnienie umysłu pojmowali oni jako zasługę swego dyrektora i nieśmiało, milcząc, uznaniem tej wartości dank mu składali. Zimny i skąpy w pochwałach ks. Barewicz wynagradzał pracowitych nie pochlebnymi słowami ani też podniecaniem młodzieńczej dumy, lecz pobłażliwością na dawne zaniedbania, na słabsze zdolności a chętną pomocą w zrozumieniu trudniejszych zwrotów

i niejasnych myśli, wreszcie życzliwym poprawianiem gramatycznych błędów. I zaiste, w szkole jak i w dalszym życiu, tylko na fundamencie pracy można coś zbudować. Następstwem tej metody było usuwanie przeszkód, które tamowały jej wykonanie. Cóż bardziej przeciwnego pracy, jak nie lenistwo? Ks. Barewicz w przeciągu kilku tygodni umiał poznać się na nieuleczalnych leniuchach i przyznać mu trzeba, że umiał się ich pozbyć krótkim procesem. Sąsiednie gimnazjum przemyskie było asylem dla samborskich wygnańców. (Ówczesny dyrektor gimnazjum przemyskiego ks. Polański znanym był w całej wschodniej części kraju z przesadnej pobłażliwości względem młodzieży). Ten bezwzględny sposób postępowania z uczniami leniwymi wyrobił ks. Barewiczowi markę tyрана. Uciekinierzy samborscy szerzyli postrach przed tym dyrektorem aż po Lwów, gdzie go przedstawiano jako wroga młodzieży, niesłusznie. Ta niepochlebna ale i niezasłużona opinia była powodem, że ks. Barewicz stawał się coraz zgryźliwszym i na błędy ludzkie niewyrozumiałym i to spowodowało jego upadek... przedwczesny. A nie był to zwykły „żjadacz chleba”. Świadczy o tem fakt, że ks. Barewicz mając zaledwie 28 lat życia wybrany był z okręgu stanisławowskiego posłem na sejm krajowy z grupy wielkich posiadłości. Nieletniemu posłowi udzielić musiał sejm veniam aetatis.

W pierwszej i drugiej klasie gimnazjalnej uczył nas religii ks. Podgórski. Był to już starzec wysoce zdenerwowany, ale lubiący młodzież i na wybryki jej wyrozumiały. Po nim przyszedł ks. Błyskał, którego poprzedziła sława jako bardzo zdolnego człowieka. Ten po półtorarocznym pobycie w Samborze umarł na tuberkuły mózgowe w 30-ym roku życia. Następcą jego został 29-o letni ks. Aleksy Watulewicz, który nas uczył aż do matury, wysłużył potem w zawodzie swoim pełne lata i doczekał się 50-o letniego jubileuszu kapłańskiego, który obchodził w rodzinnym swem miejscu w Żmigrodzie w lecie 1924 r. W kilka dni potem już nie żył. Należał on do zdolnych profesorów. Odnaczał się umysłem jasnym, trzeźwym i pogodnym. Z oczu ks. Watulewicza czytał każdy, że ten człowiek nie potrafiłby nikomu szkodzić, i że w sądzieńiu drugich kieruje się wyrozumiałością. Natura obdarzyła go pięknym dźwięcznym tenorem, a tak donośnym, że w czasie procesji Bożego Ciała stojąc na przeciwnym rogu rynku rozróżnialiśmy łatwo wśród rozśpiewanej rzeszy głos ks. Watulewicza.

Ruskim katechetą był przez długie lata ks. Jasieniński, kapłan poważny a do swojej narodowości i religii niezmiennie przywiązany. Między studentami miał sławę, że przepisane dla wszystkich klas podręczniki do ruskiej religii umiał na pamięć. Wykładał też swój przedmiot zawsze bez pomocy książki. Umarł w czynnej służbie. Następcą jego zamianowano ks. Podolińskiego uczonego w swym zawodzie, który niedługo pełnił ten urząd, został bowiem powołany do Przemyskiej kapituły na gremjalnego kanonika.

Ze świeckich profesorów na pierwszym stawiam miejscu z wieku i urzędu tego, który zawsze w czasie wakacji zastępował ks. Barewicza. Był nim Bartkowski profesor historii i niemieckiego w niższym gimnazjum. Znałem go jeszcze z czasów, gdym chodził do „normalek“, kiedy to mąż ten sprawował urząd inspektora okręgowego i kiedy wysoka i barczysta jego postawa takim mię lękiem przejmowała. Jakżeż jednak złudną zewnętrzną postać. Poważny ten i srogi mężczyzna okazał się łagodnym jak baranek człowiekiem, a tak dobrym i delikatnym, że nie umiał się zdobyć nawet na słowne skarcenia studenckich wybryków. To też mimo rzetelnej wiedzy i najlepszych chęci nie mógł on nas wiele nauczyć. Przeważna część uczniów wyzyskiwała te słabe strony profesora do ostatecznych granic, nie tylko nie ucząc się zadanych lekcji, ale zamieniając salę szkolną na jego godzinie w miejsce ulicznych wyzwisk i nie dającego się opisać hałasu. W łagodnych i nie rzadko załzawionych oczach Bartkowskiego wyczytać można było żal do tych, których on dobrocią zjednać sobie pragnął. Jestto jeden z dowodów, że młodzież z nader nielicznymi wyjątkami tylko ostrością da się w karbach utrzymać i do nauki nałożyć.

Ze starszeństwa drugie miejsce należy się profesorowi Paszkiewiczowi. Uczył on łaciny i greki w dwóch najwyższych klasach. Niepośledni znawca Sofoklesa i Tacyta pisał rozprawy w tym przedmiocie klasyczną łaciną, a mimo to nie wynosił się nad swoich kolegów. Uczniów oceniał sprawiedliwie nie bacząc na żadne inne względy.

Mam teraz mówić o profesorze moim jeszcze z 1-ej gimnazjalnej i jedynym, który dotychczas jeszcze żyje. O umarłych źle mówić się nie godzi. Ależ o tym żywym niepodobna inaczej, jak tylko dobrze mówić. To profesor Łaszkiewicz. Uczył on w całym gimnazjum historii naturalnej, a w niższych klasach matematyki. Jakim był profesorem, niech świadczą fakta, że

godzinę historii naturalnej uważali wszyscy jego uczniowie bez różnicy uzdolnienia za najprzyjemniejszą, że do zbierania owadów i roślin ogarniał ich iście szalony zapał i że ze swymi zbiorami szli do katedry Łaszkiewicza z takim pietyzmem, jakim przejęty jest chyba archeolog dla nieocenionych skarbów swoich. Tylko zamiłowany w swym przedmiocie profesor wzniecić może podobne uczucia w uczniach swoich. Matematyka, to suchy przedmiot, ale Łaszkiewicz umiał i martwym cyfrom życie nadać, najzawilsze zaś reguły arytmetyczne tak jasno przedstawiał a czynił to tak naturalnie i skromnie, że uczniowie nie wiedzieli, czy talentowi profesora, czy też własnemu rozumowi dziwować się mają. Postępowanie Łaszkiewicza z uczniami i ocena ich pracy zawsze były zgodne ze sprawiedliwością. Mówiono, że ten, kto się wystroił, musiał mimo najlepszego przygotowania dostać „dwóję“ od Łaszkiewicza. Posądzenie zupełnie bezpodstawne. Kolega mój Kobak (zmarły jeszcze na akademiji), obywatelski synek, lubiał zawsze elegancko się ubierać, ale i uczyć się lubiał. To też zawsze cwałebną dostawał notę od Łaszkiewicza, któremu za tę jego sprawiedliwość tem większą czcią się odpłacał. Tych jednak, którzy głowę swoją tylko we fryzurę ustroić umieli, Łaszkiewicz ostro sądził i z pogardą swą dla takich walorów wcale się nie taił. Dobroć serca tego profesora najlepiej się ujawniała wobec biednych a pilnych uczniów. Łaszkiewicz nikomu nie schlebiał i nikogo umyślnie dotknąć nie umiał, ale z jaką życzliwością i miłością patrzyły te łagodne oczy na biednego a dobrego ucznia i jak rozumnie a delikatnie umiał on w oddanej mu pod zarząd „bibliotece dla biednych uczniów“ wynaleźć potrzebne takiemu studentowi podręczniki? Skromność tego człowieka utrzymywała go i w prywatnem jego życiu w granicach umiarkowania. Cały Sambor wiedział, że Łaszkiewicz nie pali, nie pije i w karty nie gra, wszystkie zaś wolne chwile spędza w swoim „warsztacie“. To umiarkowane skromne życie przedłużyło lata jego daleko poza zwyczajny kres życia ludzkiego. Łaszkiewicz liczy obecnie 87 lat, trzyma się jednak krzepko i dotychczas jeszcze majstruje. Niech żyje nam ten dobry przykład!

Profesor Brajer uczył polskiego w niższem gimnazjum a nadto w dwóch najwyższych klasach logiki i filozofji. Mimo wątłego zdrowia i osłabionych nerwów starał się on wiedzę swoją wlać w uczniów swoich i szukał sposobów dla celu tego najodpowiedniejszych.

Zbyteczna rozwodzić się nad tem, jak ważną rolę w życiu uczniów spełniają początki w każdym przedmiocie, a zwłaszcza w nauce języków klasycznych i jak doniosły ich wpływ na całą przyszłość młodzieńca. Dobre początki, to podstawa nie tylko dalszej nauki, ale i miłości do nauk i wewnętrznego zadowolenia. Objawy takie, jak zubożenie, zniechęcenie a nawet wstręt do książki, są zwyczajnie wynikiem złych początków, zwłaszcza, gdy te ujemne strony dopiero u starszych uczniów występują. Złe podstawy powodują w dalszej nauce trudności wzmagające się z posuwaniem się w gęstwinę wyjątków od licznych reguł. Jakżeż tu zrozumieć i uporządkować wyjątki, jeżeli się nie poznało dokładnie reguł, na których jakby na filarach cała budowla się opiera? Nikt nie lubi tego, co mu pracę utrudnia, coś więc dziwnego, że młodzieniec natrafiwszy na przeszkody, których pokonać nie jest w stanie, opuszcza ręce, zraża się do dalszej pracy i porzuca ją z żalem, do kogo? do profesora odnośnego przedmiotu. Niemala tedy odpowiedzialność ciąży na tych, którzy kłaść mają podwaliny, a bodaj czy nie większa jeszcze na tych, których obowiązkiem jest dobierać odpowiednich nauczycieli, na kierownikach zakładów naukowych.

Początków łaciny uczył nas Piękoś. Nie celował on ani wielkimi zdolnościami, ani głęboką wiedzą, wybornie jednak znał zasadnicze reguły gramatyki łacińskiej, a był człowiekiem dobrego serca i czułego sumienia. Jak doskonały posiadał ten profesor dar uczenia początków, świadczy fakt, że na 40-u uczniów w pierwszej klasie zaledwie jeden czy dwóch otrzymało złą notę z tego przedmiotu i ogólna była opinia w klasie, że łacina należy do najłatwiejszych przedmiotów. Dobre te zasady żywiły nas wszystkich przez całe gimnazjum i niejeden uczeń, który później w łacinie się zaniedbał, dostał łaski przebaczenia dlatego tylko, że znał podstawy tego języka. Była to zasługa Piękosia.

Do znanych osobistości w mieście i w okolicy należał Sołtys, profesor polskiego i łaciny w niższym gimnazjum. Miał on ustaloną sławę dobrego mentora chłopców oddanych do niego na „stancję”. Jeżeli rodziców los obdarzył urwiszem, któremu nawet Jezuici poradzić nie mogli, to go oddawano do Sołtysa. Przyjmował on chłopców tylko z lepszych domów, przeważnie synów obywatelskich, a trzymał ich tak rygorystycznie, że bez opowiedzenia się nie wolno było żadnemu nawet na dół (z piętra) zbiedz do sklepiku po ołówek, pióro itp. Na spacer wychodzili

konwiktorzy Sołtysa tylko pod jego nadzorem w przyzwroitem od pana profesora oddaleniu. Codziennie wieczór egzaminował Sołtys swoich studentów na wrywki z trudniejszych przedmiotów tak ostro, że chłopakom przy odpowiedziach drżały usta. Należał on do zdolnych profesorów, uczył dobrze łaciny i był najlepszym w całym gronie nauczycielskiem polskim stylistą. Podnieść należy jeszcze jeden jego talent, umiał poznać się na zdolnych uczniach i należycie ich ocenić. Znały tego profesora także okoliczne wsie samborskie. Z powodu nadmiernej tuszy odbywał on codziennie milowe spacery. Umarł przedwcześnie nagle, rażony apopleksją w chwili, gdy wychodził z kościoła farnego.

Profesor Krynicki, zdolny historyk cieszył się dla wielkiego taktu swego i delikatnego obejścia w całym gimnazjum rzadkim szacunkiem i poważaniem. Wykładał bardzo zajmująco, mówił płynnie i spokojnie, wykład zaś swój umiał okraszyć doborowymi wyrazami i pięknymi zwrotami.

Profesorem niemieckiej literatury był Berger, który przybył do Sambora, gdyśmy już skończyli szóstą gimnazjalną. Mówił pięknie po niemiecku, to też raziły go niezmiernie językowe dziwolągi tych uczniów, dla których niemczyzna czy to z powodu dawniejszego nieuctwa, czy też braku filologicznych zdolności wydawała się nie dającą się nigdy rozwiązać zagadką. — Poprzednikiem jego był profesor Kosak, przystojny mężczyzna i człowiek wielkich zdolności, do których rozwinięcia przeszkadzała mu jednak żyłka towarzyska. Dla wrodzonego dowcipu, nie bez sarkastycznej domieszki, był on we większych zebraniach towarzyskich pożądanym gościem. Przeniesiony do Tarnowa pełnił przy tamtejszem gimnazjum urząd profesorski przez długie jeszcze lata i tam też żywota dokonał.

Po odejściu Kosaka a przed przybyciem Bergera przysłano nam ze Lwowa na zastępcę Antoniego Lorkiewicza. Był to za moich czasów pierwszy profesor, który przybywał wprost ze stolicy. Ciekawość nasza zamieniła się wkrótce w dumę. Dowiedzieliśmy się, że młody ten profesor (wówczas jeszcze suplent) znanym już jest w świecie naukowym, że prace jego drukują w książkach itp. I w istocie Lorkiewicz był jednym z najzdolniejszych uczniów Liskego a monografię jego „Bunt gdański“ drukował w r. 1880 lwowski „Przewodnik naukowy i literacki“. Krótko, bo zaledwie trzy miesiące był on naszym nauczycielem

a mimo to pokochaliśmy go wszyscy za jego delikatność, uprzejmość i wyrozumiałość. W kilkanaście lat potem umarł Lorkiewicz ze szkodą dla swego społeczeństwa.

Najmniej lubianymi we wszystkich szkołach bywają profesorowie matematyki i fizyki. Przedmioty te wymagają prócz specjalnego uzdolnienia także skupionej uwagi i pamięci. Rzadkie to dary. To też matematyka, szczególnie w najwyższych klasach, budzi u wszystkich niemal uczniów postrach. Źródło tego nieprzyjemnego uczucia widzą uczniowie w profesorze i stąd ten brak sympatii. Nasz profesor Nowosielski nie stanowił pod tym względem wyjątku. Sama jego postawa zdawała się być dostosowaną do natury jego przedmiotu. Wysoki, barczysty, ciężki i niezgrabny o powolnych, leniwych ruchach, zawsze poważny i mało-mowny nie mógł on być ujmującym. Przybył do Sambora, jako 28-o letni młodzieniec z opinią dobrego matematyka i zaraz dał się poznać jako profesor, który nie umie z uczniami żartować i do pobłażania im nie jest skory. Wymagał wiele i pytał ostro. Wszyscy go się bali. Ale nie było w całym gimnazjum ucznia, któryby się skarżył na tego profesora, lub miał żal do niego. I to jest właściwą charakterystyką Nowosielskiego. Maturzyści zwłaszcza przekonywali się, że był on przyjacielem młodzieży. Otrzymawszy później posadę dyrektora szkoły realnej w Stanisławowie doczekał się na tem stanowisku pełnej emerytury i tam przed kilku laty umarł.

Społeczeństwo nasze nie obfituje w osobniki oddane duszą i ciałem swemu zawodowi. Do wyjątków zaliczają się profesorowie, którzy w książkach i uczniach cały świat swój widzą. Myśmy mieli szczęście oglądać i słuchać takiego profesora. Był nim Ludwik Berezowski. Wykładał literaturę polską i filologję klasyczną w najwyższych klasach. Patrząc na niepozorną jego postać niktby nie przypuszczał, że pod tą mizerną powłoką tyle przymiotów się mieści. Zdolność, pracowitość, wiedza, takt, sprawiedliwość, wszystko to złączyło się w tej „chudzinie“. A jak on kochał swój zawód, jak swój przedmiot umiał i jak go umiał uczyć. Zawsze znakomicie przygotowany umiał on każdą lekcję niemal na pamięć. Były osobne godziny, na których Berezowski czytał nam najpiękniejsze ustępy z poezji polskiej. Zawodowy deklamator przygotowujący się do publicznych występów, nie zadawał sobie pewnie tyle pracy, co ten profesor do lekcji lektorskiej. On dopiero okazał nam piękności mowy polskiej, jej

bogactwa i jej muzykę i on nas nauczył, co może przykład. W siódmej i ósmej klasie był naszym gospodarzem, a ktoby chciał był sądzić uczniów jego wedle zachowania się ich na jego godzinie, musiałby był wszystkim przyznać tę samą chęć wiedzy i jednaki gorący zapał do nauki. Probiezmem pracowitości i sumienności profesora jest sposób, w jaki on ocenia pisemne wypracowania uczniów swoich. Wiadomo, ile to czynników składa się na dobre pisemne zadanie polskie na najwyższym szczeblu nauki gimnazjalnej. Jeżeli niełatwą jest rzeczą opis zwykłego zdarzenia lub pospolitego widoku natury w poprawną ująć formę, jakież trudności pokonywać ma młodzieniec, który poniekąd już tworzyć musi, własne snuć myśli i te ducha swego twory w pewną artystyczną przyoblekać szatę? A o ileż trudniej jeszcze jest krzywizny prostować, chropowatości wygładzać, niepotrzebne rzeczy usuwać, lub innego tchnąć w nie ducha i wcale odmienny im charakter nadawać? To nie lada obowiązek. A Berezowski lubiał i umiał go wykonać. To też dzień, w którym on przechodził z uczniami i rozdawał poprawione zadania, nabierał jakiejś uroczystości, był dniem popisu. Takiej ciszy, tak wyęźnionej uwagi i ciekawości, jaka panowała w klasie wtedy, gdy nam Berezowski rozdawał zadania, a szczególnie polskie zadania, nie zauważyłem nigdy przedtem ani później. Z przedziwną subtelnością umiał on budzić w nas i zaostczać zmysł krytyczny, uczył doboru słów i zwrotów, przedstawiał śmieszności napuszystego stylu przez porównanie go z naturalnym sposobem pisania, wykazywał prowincjonalizmy, pospolite wyrażenia, usuwał pleonazmy itp. Czuliśmy wyższość jego, chociaż on nam jej nie dawał odczuwać i po każdej jego godzinie czuliśmy się oświeceńszymi. Ale słaby jego organizm nie mógł długo wytrzymać tak wyęźnionej pracy. Jeszcze przed skończeniem uniwersytetu wyczytałem w jednym z dzienników wiadomość o śmierci Berezowskiego. Krótkie ale serdeczne wspomnienie z należną zmarłemu czcią dołączone było do tej smutnej wiadomości.

Tu kres moich wspomnień o zacnych przewodnikach naszych. Jako ludzie nie byli i oni zapewne wolni od wad, każdy z nich miał swoje słabości, ale one nikną wobec ofiar, które oni codzień, co chwilę niemal składali ze swych upodobań i nawyczek, ze swej osobowości na ołtarzu dobra powszechnego na rzecz przyszłych pokoleń. Tych kilku nas pozostałych ich uczni z przed 40-u laty słabym już ale wdzięcznym głosem woła: Cześć ich pamięci!

III.

Wspomnienie o naszych profesorach i ich metodzie uczenia skłania mię do porównania ówczesnego systemu uczenia z dzisiejszym. Już pierwszy rzut oka na te dwa systemy okazuje różnicę ilościową. Dziś uczą więcej, niż dawniej. Rzecz to nie tylko naturalna, ale i konieczna. Nieznane ongi poglądy, wynikię z najnowszych badań naukowych i mnogie a różnolite wynalazki zwiększyły obszar wiedzy, który uczeni pokrajali na pasy, zwane specjalnościami. Jest ich już dzisiaj tyle, że sama nomenklatura tych specjalności utworzyłby mogła osobny podręcznik. Wiadomo dalej, że na gruntowne zbadanie jednej tylko specjalności życie ludzkie jest za krótkie. Stąd naturalny wniosek, że ten, kto tylko na ogólnem wykształceniu poprzestać zamysła, nie może mieć pretensji do uczoności i tego też od niego wymagać nie można. Ale to zaprzeczyć się nie da, że społeczeństwo ma prawo żądać od człowieka wykształconego znajomości jego własnego języka. Właść biegle rodzinnym językiem w mowie i piśmie, to za mało, trzeba przejąć się jego duchem, czuć jego piękno i kochać go, kochać szczególnie odrzucaniem i unikaniem wszystkiego, co go szpeci, co jest jego skażeniem. Tego domagać się mamy prawo od tych, których przez dwanaście lat uczono ich ojczystego języka, od naszych maturzystów.

W dzisiejszych czasach trudno wyobrazić sobie człowieka wykształconego bez znajomości jednego przynajmniej obcego języka. Dla nas Polaków zwłaszcza znajomość co najmniej jednego z cywilizowanych języków jest potrzebą »sine qua non«. Sąsiadując o miedzę z Zachodem, wyrosłym na tych samych, co i my, podstawach, już samą siłą duchowego powinowactwa ciążymy, przylegamy do zachodnich narodów. Można się spierać o to, którego z tych naszych sąsiadów mowa piękniejsza, to jednak jest pewnem, że z Niemcem, naszym bezpośrednim sąsiadem, najwięcej stykać się musimy, że on na rozwój cywilizacji nader wielki wpływ wywiera, i że język jego jest świa-

towy, bogato uposażony i wzorowo zbudowany. Z tego powodu znajomość tego języka uważam dla nas za potrzebniejszą, niż języka francuskiego lub angielskiego. A teraz ośmielam się zapytać, czy od dojrzałego młodzieńca, którego przez ośm lat uczono w szkołach obcego języka, wolno żądać, aby mu znane były zasady tego języka, aby on umiał odmieniać rzeczowniki i czasowniki wszystkich rodzaj i gatunków, aby przeróżne wyjątki od reguł utrwalone miał w pamięci w takim stopniu, żeby należyte ich zastosowanie nie budziło w nim żadnej wątpliwości i aby sobie przyswoił taką ilość wyrazów, z których mógłby utworzyć zdanie w każdej materji życia powszedniego, krótko mówiąc, aby się mógł z cudzoziemcem w jego literackim języku porozumieć i w tymże języku z nim korespondować? Jest to największa i najważniejsza część nauki każdego obcego języka. Biegłość w mowie, to w porównaniu z powyższymi warunkami rzecz podrzędna, pod względem naukowym od nich zależna i na ich podstawie łatwa do nabycia. To też chcąc wydać sąd o tem, czy kto umie jaki obcy język, nie każemy mu popisywać się płynnem wysławianiem się lub akcentem, lecz zażądamy odeń, aby nam kilka zdań z jakiego polskiego ustępu poprawnie na obcy język bez pomocy gramatyki przetłómaczył.

Mówiąc o językach nie można pominąć milczeniem łaciny i greki. Wiekowe doświadczenia wykazały, że na najwyższy szczebel cywilizacji wzniosły się te narody, które wykształcenie swoje oparły na wzorach klasycznych. Ogólną jest także opinja, że ukończeni gimnazjaliści przewyższają realistów pod każdym względem, a szczególnie co do podniosłości ducha i subtelności uczuć. Dlatego debatę nad tem, czy z naszych gimnazjów nie należałoby wyrugować języków klasycznych, uważam za równoznaczną z podniesieniem kwestji, czy nie byłoby lepiej, gdyby poziom duchowy naszego społeczeństwa raczej się obniżył, niż podniósł. Głosowałbym nawet za wprowadzeniem łaciny do szkół realnych. Sienkiewicz powiedział, że ten, kto się łaciny nie uczył, nie może umieć po polsku. Jestto najlepszą odpowiedzią dla tych, którzy twierdzą, że tłómaczenia rzymskich czy greckich arcydzieł zastąpić mogą snadnie oryginał. Czy istotna wartość »Sabałowej bajki« w jej treści zawarta?

Na pytanie, czy obecny system uczenia jest lepszym od dawniejszego (mam na myśli tylko naukę języków), niech nam odpowiedzą maturzyści i maturzystki z przed 40-tu lat i dzisiejsi.

Mówiono dawniej, że maturzyści lubią popisywać się uczonością, seminarzystek zaś zadania i zdania przedstawiano jako przykład naiwności. Dziś powszechną jest opinia, że maturzyści i ich koleżanki nie umieją po polsku. Listy tych młodzieńców napawają smutkiem ich rodziców i opiekunów. Styl w nich albo trywialny, albo napuszysty. Starsi sędziowie i referenci w innych dykasterjach skarżą się znowu, że młodzi panowie, ukończeni prawnicy, piszą przeważnie stylem niedołącznym, albo, co się częściej zdarza, niedbałym. Weźmy teraz wypracowania szkolne maturzystów i seminarzystek z przed czterdziestu lat i listy pisane przez nich do ich rodzin. Niema tam wyszukanych zwrotów, ekscentrycznych porównań i tym podobnych oszałamiających nadzwyczajności, nie znajdziesz w nich jednak nic takiego, co by zdrowo myślącego człowieka raziło, odpychało. Niejedno wywoła zapewne u starszych pobłażliwy uśmiech, całość jednak jest dla każdego zrozumiałą, szczerą i serdeczną. Naturalny układ słów i zdań i gładki styl — to ich ozdoba.

Czyżby dzisiaj gorzej uczono? Sprawiedliwość każe dać twierdzącą odpowiedź. Ależ nie profesorów o to winić będziemy. Bylem raz proszony o pomoc seminarzystkom w przygotowaniu się z polskiego »opowiadania«. Wierzyć nie chciałem, aby na jedną lekcję można zadać trzy stronicie takiej rozprawy, jaką jest »Ślady zamierchłej kultury w Polsce« według Wiktora Czer-maka i Kazimierza Mokłowskiego. Ani połowy zadanej lekcji nie byłem w stanie przerobić z czterema uczenicami w przeciągu jednej godziny. Dodaję, że z odpowiedzi panienek nie trudno było wyczuć, iż po jakim tygodniu zaledwie strzępy tego przedmiotu pozostaną im w pamięci. Jakież było moje zdziwienie, gdy mi później powiedziano, że ów profesor po przepytaniu »z grubsza« kilku uczenic, zadał im na następną lekcję z nowego, równie trudnego ustępu, jeszcze więcej, niż poprzednio? Ciekawą tę sprawę wkrótce mi wyjaśniono. Przepisane plany nauki są tak obszerne, że profesor musi siedmiomilowe robić kroki, aby urzędowym wymaganiom w każdym kierunku nadążyć.

Wróćmy teraz do rozprawy »Ślady zamierchłej kultury w Polsce«. Już pierwszych kilka wierszy przekona nas, ile razy i z jakim skupieniem każde zdanie przeczytać trzeba, aby się wszystkich wartości w niem ukrytych dopatrzyć. Ile tam nauki, ile myśli, ile trafnych wniosków! A z jakim to artyzmem w całość złączone, jak misternie ze sobą powiązane! Godzina, to za

krótki czas, aby tylko trzydzieści wierszy tej rozprawy z pożytkiem przeczytać, aby się w nią wmyśleć, przeczytane rzeczy rozważyć, krótką z nich treść sobie utworzyć i w pamięci utrwalić. Na takie przeczytanie trzech pełnych stronicy cały wieczór nie wystarczy. Czy jest zaś możliwem, pytam się, aby młodzieńczy umysł był przez cały wieczór w jednym kierunku wytężony? I skąd wziąć czas na wyuczenie się innych przedmiotów? Oszukiwać nauczycieli i siebie, to jedyna rada. Oto zdolniejsi uczniowie i uczennice sporządzają sobie po jednorazowym przeczytaniu owych stronicy krótki z nich wyciąg. Słabsi ich koledzy i koleżanki odpisują te notatki i czytają je na... pauzie przed polską godziną. Wszyscy zaś nie zdają sobie sprawy z tego, jaką wartość posiada zadana im rozprawa co do jej treści, ducha i formy. Młodość czuła jest na jaskrawość, na blichtr. Uczniowie przyswajają sobie niezwykle wyrażenia i zwroty autora, popisują się niemi później tam, gdzie ich stosowanie nie odpowiada ani przedmiotowi, ani miejscu, jak np. w potocznej rozmowie, w listach do rodziców, przyjaciół itp. Są to skutki pobieżnego czytania bez zgłębienia rzeczy. Nie było czasu na dokładne zbadanie treści przedmiotu, tem mniej na przyjrzenie się choćby niektórym jego pięknościom, na wczucie się w jego ducha. Pozostało w głowie kilka pustych frazesów, ale dusza nic nie zyskała. Po kilku latach, gdy młodzieniec wejdzie w życie praktyczne, gdy obejmie jakiś urząd, przekonuje się o nicości szumnych wyrazów, zarzuca je, a gdy dusza jego nie wsiąkła rzeczywistej piękności polskiego języka, następuje powrót do poziomu popolitości graniczącej nierzadko z trywialnością. Również dla innych przedmiotów, jak mi profesorowie mówili, plany szkolne zdają się opierać na zasadzie »non multum sed multa«.

Przejdźmy teraz do nauki obcych języków. Z tych w naszym kraju z tradycji i potrzeby najpowszechniejszym jest język niemiecki. W szkołach średnich pozostał on nadal przedmiotem obowiązkowym, któremu poświęcono (nie bez słuszności) znaczną ilość godzin w tygodniu. A jakie wyniki tej nauki? Nie zasłużymy sobie na zarzut przesady, odpowiadając jednym, ale trafnem niestety słowem — żadne. Ukończeni maturzyści i maturzystki (z wyjątkiem niektórych celujących uczniów) nie potrafią skleić poprawnie najpojedynczszego zdania niemieckiego, nie rozumiają, co Niemiec do nich mówi (o czytaniu niemieckich gazet ani marzyć), ale nawet, co najbardziej jest nagannem, nie

umieją oni odmieniać rzeczowników i czasowników, słowem nie mają podstawy, któraby ich uzdolniła do wyuczenia się tego języka. To fakt nie dający się zaprzeczyć i usprawiedliwić. I znowu nie profesorowie temu winni. Podręczniki do nauki niemieckiego są znakomite, ale... nie dla Polaków. Tendencją obecnie panującą jest uczyć obcych języków metodą konwersacyjną, uczyć tak, jak uczyły dawniej i dotychczas jeszcze gdzieś uczą polskie dzieci cudzoziemskie bony i guwernantki. Pomijam kwestję (wcale nie błahą), czy taka nauka jest nauką, czy »paplanie« godzi się zwać mową, proszę jednak nie zapominać, że owe bony i guwernantki rozmawiają z naszymi dziećmi tylko w swoim języku, że się w tym języku z niemi bawią, że z niemi śpią, słowem, że są nieodstępniemi ich towarzyszkami. Ta wyłączność i nieustanność musi w duszy i pamięci ludzkiej wyłobić swoje koryta. — Nie małą rolę spełnia tu także natura dziecka, chłonna żywiołowo w siebie wszystko, co ono widzi i słyszy. Warunków tych niema w szkole i być nie może. Budowa stosować się musi do gruntu, do fundamentu. Kto się z tem nie liczy, oszukuje siebie i drugih. Dyrektorka jednego zakładu naukowego, stając w obronie najnowszych podręczników do nauki języka niemieckiego, twierdziła (zgodnie zapewne z życzeniem swych władz przełożonych), że dzisiejsze książki są tak znakomicie ułożone, iż dziecko już po skończeniu pierwszego roku nauki niemieckiego, myśli na tej godzinie po niemiecku. Utopja. Polak w polskiej szkole nigdy inaczej, jak tylko po polsku, myśleć nie będzie. Mimo to może się on nauczyć mówić i pisać po niemiecku. Ale nie metodą dzisiaj stosowaną. Kilka zaledwie godzin tygodniowo i to w odstępach próbować mówić po niemiecku z zepchnięciem gramatyki na drugi plan, nie doprowadzi do żadnych dodatnich wyników. Praktyka okazuje to aż nadto dobitnie. Po owocach poznacie ich. Nawet całodzienna konwersacja, nie oparta na zasadach gramatycznych, nie nauczy języka niemieckiego. Ma to także zastosowanie do języka francuskiego. Obydwa te języki zbudowane są na stałych, ale licznych i nader skomplikowanych regułach, których wyuczenie się wymaga długiego czasu i wielkiego mozółu. Przez samą konwersację możnaby już prędzej uczyć języka angielskiego, gdzie regułą jest to, co Niemiec nazywa *die Gesetzlosigkeit*. Maturzyści dzisiejsi nie umieją po niemiecku, a jeżeli który z nich pragnie posiąść ten język, zadaje rozpaczliwe pytanie: »jakby się to nauczyć

tego języka?« Ośm najżyźniejszych, najdroższych lat straconych. Czyż nie lepiej było użyć tego czasu na naukę jakich ręcznych robót?

Zapyta kto, jak uczono języka niemieckiego w szkołach średnich, zwłaszcza w gimnazjach za moich czasów tj. w ostatniej ćwierci wieku zeszłego?

Nim odpowiemy na to pytanie, zauważyć musimy, że wówczas już język polski był językiem wykładowym w szkołach i to od jakich kilkunastu lat i że świeżo pasowani gimnazjaliści umieli zaledwie kilkaset wyrazów niemieckich wymówić i napisać. Wobec tego naukę niemieckiego w pierwszej gimnazjalnej rozpoczynano od A. Podstawę stanowiła nauka o budowie języka t. j. gramatyka. Teoretyczny, przystępny wykład tej nauki objaśniano i utrwalano w pamięci na praktycznych przykładach, dostosowanych ściśle do wyłożonych już reguł gramatycznych. Tej ścisłości w dostosowaniu przykładów przestrzegano z największą skrupulatnością tak, że do przykładów nie włączano nic takiego, co by przekraczało zakres wyuczonych już reguł gramatycznych. Miało to nie tylko dydaktyczną wartość, ale i moralne znaczenie. Uczeń znajdował w trafnem zastosowaniu reguł wewnętrzne zadowolenie. równocześnie zaś miał tę pewność, że tak podręcznik, jak i nauczyciel wymagać będzie od niego tylko tego, co się opiera na wyłożonych mu poprzednio zasadach gramatycznych.

Dzisiejsze podręczniki uwzględniają także reguły gramatyczne, ale tylko przygodnie. Wprowadzają one takie powiastki i opisy, w których tu i owdzie rzucony jaki wyraz lub zdanie dostosowane do wyłożonej reguły gramatycznej, gubi się w całości, zawierającej mnóstwo nieznanych jeszcze uczniowi odmian, reguł i wyjątków. Mieszanina ta męci umysł ucznia i tak go swą masą przygniata, że on nie może nauczyć się stosowania wykładanych mu reguł. Nie jest także w stanie zorjentować się w tym lesie, pełnym nieznanych mu dróg i drożyn. System ten ciągnie się przez cały czas ośmioletniej nauki. Wieczne błąkanie się. W powiastkach zamieszczonych w niemieckich podręcznikach, przepisanych dla uczniów i uczenie pierwszego kursu seminarjów nauczycielskich, znajdujemy niemałą ilość tak wyszukanych i trudnych zwrotów, że niejeden rodowity Niemiec z trudnością tylko potrafiłby się na nie zdobyć. Polak musiałby się filologicznie zgermanizować, aby je sobie na całe życie przy-

swoić. Tę dydaktyczną niewłaściwość pojmiemy jeszcze lepiej, gdy się przekonamy, że uczniom tych kursów nie są znane najprymitywniejsze zasady budowy niemieckiego języka. Wszystkiego naraz nauczyć niepodobna. Nasuwają mi się tutaj słowa ks. Włodka ze wstępu do jego dzieła »O naukach wyzwolonych«. »Sposób uczenia prędkie, raptowny, powierzchowny, że w kilka dni pokazują nauczyciele rodzicom, że ich uczniowie postąpili, pokazuje nierozum nauczycieli, szkodę uczniom, zawód rodzicom czyni. Niech sobie wszyscy to wbiją, że nauki nie są jako grzyby, które zagnała wychodzą z ziemi, ale są jak drzewa wielkie, które się nie zaraz poczynają, do rośnięcia czasu potrzebują«. Uwagi te, wypowiedziane z końcem XVIII stulecia, mają i dzisiaj niezmienioną wartość i oby z tej ceny u nas nigdy nie spadły.

Na tej zasadzie opierały się podręczniki do nauki języka niemieckiego za moich czasów. Każdy, kto umiejętnie włada językiem niemieckim, wie, jak przeróżne posiada ten język odmiany rzeczowników i jak wielką ilość wyjątków, a również, ile rodzajów i klas czasowników. Niemiec zapoznaje się z tą skomplikowaną budową od dzieciństwa sposobem zabawkowym, jak to mówią, śpiewająco. Wiedza ta jednak pozostałaby tylko instynktowną, surową, gdyby jej później nauka gramatyki nie rozjaśniła, nie uporządkowała, nie wypolerowała i nie uszlachetniła. Polak, chcący się zapoznać ze wszystkimi tajnikami i tajemnicami tej budowy, musi pracę swą rozpocząć od przedsiönków i powoli postępować do wnętrza. Wspinając się po licznych schodach na coraz wyższe piętra, będzie on musiał nieraz przystanąć, by się wokół rozglądnąć i myślą objąć drogę przebytą.

Przeglądnijmy niemieckie podręczniki, jakich używano w siedmdziesiątych i ósmdziesiątych latach zeszłego wieku w niższem gimnazjum, a przekonamy się, że one odpowiadały powyższej zasadzie. Każda stronica wprowadzała nową regułę na trafnych, krótkich przykładach wyjaśnioną. Zdania były tak ułożone, aby uczeń miał sposobność poznać jak największą ilość nowych wyrazów niemieckich i powtórzyć sobie te słowa i reguły gramatyczne, których już przedtem był się nauczył. Słówka musiał każdy uczeń w swoim zeszycie sobie napisać i znakomicie się ich nauczyć. Gramatyka i copia verborum, to dwie zasadnicze podstawy nauki obcego języka. Tak postępowano przez pierwsze dwa lata nauki gimnazjalnej. Rzeczy takich, jak te, aby uczniowie myśleli i mówili po niemiecku, nikt od nich nie wymagał.

Nawet profesorowi Niemcowi z rodu coś podobnego na myśl przyjsć nie mogło. Natomiast nie darowano skończonemu infimście takich błędów, jak np. bój się tego człowieka: *fürchte diesen Mensch* — przestraszyłem się: *ich habe mich erschrocken* — siedziałem godzinę: *ich habe eine Stunde gesetzt* i tym podobnych głównych wykroczeń, na które sobie dzisiejszy maturzysta bez zarumienienia się pozwoli.

Trzecią i czwartą gimnazjalną wypełniała nauka o zdaniu, a szczególnie o szyku zdań, o składni z uwydatnieniem różnic między układem słów, zdań i niektórymi ważniejszymi zwrotami w polskim i niemieckim języku. Reguły te wyjaśniano już przeważnie na krótkich powiastkach i opisach. Równocześnie powtarzano przy każdej sposobności wszystkie trudniejsze rzeczy z materiału przerobionego w dwóch poprzednich latach. Dodatni rezultat takiej nauki był widoczny. Uczeń średnich nawet zdolności czytał w czasie wakacji przed przejściem do wyższego gimnazjum powiastki Hoffmanna w oryginale z tem wewnętrznem zadowoleniem, że przeczytaną treść rozumiał bez pomocy słownika. Jaka to była zachęta do dalszego kształcenia się!

Mając taką podstawę, można było w piątej klasie gimnazjalnej rozpocząć czytanie ustępów prozaicznych i poetycznych, napisanych przez pierwszorzędnych autorów niemieckich. W szóstej klasie czytano już balady Szyllera i zaczynało się zapoznawać z biografią klasyków niemieckich. I w tych klasach powtarzano jeszcze ze słabszymi uczniami odmiany trudniejszych rzeczowników i czasowników i rzadsze wyjątki od zasadniczych reguł, czyniono to zaś zawsze na przykładach. W siódmej i ósmej gimnazjalnej czytano utwory dramatyczne Szyllera i Goetego i uczono literatury niemieckiej. W tych dwóch latach mówiono na godzinie niemieckiej tylko po niemiecku.

Ten system uczenia uważam za jedynie racjonalny. Każdy uczeń był wybornie obznajomiony z budową języka niemieckiego. Wiedza ta zaś uczyła go także rozumieć lepiej własny język i poprawnie nim mówić. Metoda taka nie dawała biegłości w mówieniu, ale o to mniej się troszczono. I słusznie. Jeden rok pobytu w Wiedniu czy to na uniwersytecie, czy też w innym celu wystarczał aż nadto dla wyćwiczenia się w płynnem mówieniu. Dowodem tego fakt powszechnie znany, że posłowie z b. Galicji dorównywali w parlamencie austriackim rodowitym Wiedeńczykom w poprawnem wysłowieniu się, a niektórzy z nich nawet

przewyższali pierwszorzędnym mowców niemieckich. Ci zaś Polacy posłowie, którzy kształcili się w »Kongresówce«, nie odważyli się nigdy wystąpić z mową, chociażby długie lata do Wiednia posłowali. Nauka bez systematycznej podstawy będzie zawsze chromać. Kulawi i ślepi nie dorównają nigdy prostym i widomym.

Kwestja ta dzisiaj ważniejsza dla nas, niż była przed wojną. W ambasadach i konsulatach naszych zajmują posady jednostki, którychbyśmy sobie nie zawsze tam życzyli, a nie ma ich niestety kim zastąpić. Mało jest u nas takich, którzyby się chcieli gruntownie uczyć obcych języków.

Na jedno jeszcze pozwolę sobie zwrócić uwagę. W podręcznikach niemieckich na niższe gimnazjum, a nawet na piątą gimnazjalną i na pierwszy kurs seminarjów nauczycielskich znajdujemy przeważnie baśnie i powiastki dziecinne. Są to co prawda cacka literackie i jako takie w niemieckich szkołach bardzo pożądane. Dla naszych uczniów nie przedstawiają one niemal żadnej wartości. Trzeba znakomicie znać język niemiecki i wiele dobrych książek w tym języku przeczytać, aby odczuć piękno formy i odnieść stąd korzyść. Sama fabuła tych powiastek ani umysłu nie wzbogaci, ani duszy nie uszlachetni. Czyż nie lepsze były dawniejsze krótkie zdania, które prócz nauki o budowie języka zawierały wzniosłe myśli, nauki moralne, albo jakieś pamiętne zdarzenia historyczne?

Wracam jeszcze do nauki języka polskiego. Fakt, że dzisiejsza młodzież, z nielicznymi wyjątkami, źle pisze po polsku, jest godny zastanowienia. Nie myślę tu o stylu w ściślejszem tego słowa znaczeniu, którego od dwudziestoletniego młodzieńca wymagać niepodobna. Francuz mówi, że styl to człowiek, z czego mógłby kto wnioskować, że jest to dar darino dany. Ależ doświadczenie uczy nas, że »styl«, to owoc mozolnej pracy. Czytając Sienkiewicza, zdaje nam się, że jemu słowa i zdania same płynęły, że formowanie jego myśli nie kosztowało go żadnego wysiłku. A oto sam Sienkiewicz przyznał się, że nieraz jedną stronicę kilkanaście razy musiał przerabiać, nim jej nadał kształt, w jakim się ona światu pokazała.

Przyzna każdy, że młodzieniec z ukończoną szkołą średnią powinien pisać po polsku poprawnie i gładko. Jak rzadki to objaw w dzisiejszych czasach! Niedawno zdarzyło mi się czytać list jednego ucznia z ósmej klasy gimnazjalnej. Same łamańce

i dziwołagi. Gdzie szukać przyczyny tego złego? Mojem zdaniem w powierzchownym, pobieżnym czytaniu. Nawet zwykły, ale gładki styl nie przychodzi sam z siebie. I na tę »klasę« trzeba sobie zapracować, trzeba się ćwiczyć. Ćwiczenie, to nie przelatywanie z książki na książkę, z jednego autora na drugiego, lecz powtarzanie po kilka a i po kilkanaście razy przeczytanych pięknych zdań i ustępów. Na to trzeba czasu. Cóż się jednak dzisiaj dzieje?

W r. 1875, gdym przyszedł do 1-szej klasy szkoły realnej w Jarosławiu, Orzeszkowa i Sienkiewicz stawiali pierwsze dopiero kroki. Reymont i Sieroszewski nie istnieli jeszcze w świecie literackim. O całej plejadzie satelitów i epigonów tych mocarzy nawet prorokom się nie śniło. Literaturę polską w gimnazjach kończono na Polu, Siemieńskim i Kraszewskim. Pomyślmy, jakie obszary wiedzy zdobył w tem pięćdziesięcioleciu polski umysł na każdym polu pracy duchowej! Pracy przybyło, a czasu do nauki w szkołach ubyło. Dla utrzymania równowagi (pozornej) musiano się uciec do... namiastki. To pośpiech. Środek ten, jak wiadomo, jest rodzicem pobieżności i płytkości, w szkołach tandety umysłowej. Uczniowie czytają dzisiaj i czytać muszą znacznie więcej, niż za moich czasów, przepisy zaś szkolne wyznaczają im na to krótszy czas od tego, jaki mieli ich ojcowie przed pół wiekiem. W nielicznych godzinach, pozostawionych młodzieży do pracy umysłowej, musi ona, prócz szkolnej lekcji, przerobić także rzeczy z »prywatnej lektury«. Dodatek ten, to tomy »Trylogji«, »Chłopów« itp. Niema czasu zastanawiać się, trzeba się śpieszyć. Czytają więc uczniowie prawdziwie na wyścigi, przeskakując już nie stronice, ale całe rozdziały. Resztę uzupełniają sobie obcemi wyciągami. Ta powierzchowność jest podwójnie szkodliwą. Niczego ona nie nauczy, a duszę psuje. Zarozumiałość, błaga, naigrawanie się z cichej, sumiennej pracy, z rzetelnej wiedzy, to zwyczajne śpiewki tych, którzy nibyto wiele czytali, czy słyszeli, a mało się nauczyli. Jeżeli chodzi o to, aby ukończeni maturzyści o »wszystkiem« coś wiedzieli, to godzi się tutaj przypomnieć zdanie Franklina, że lepiej zrobić jedną rzecz dokładnie, niż sto pobieżnie. Słowa te, szczególnie nam Polakom, przy każdej pracy mieć na pamięci.

Patrzac na tę powierzchowną wiedzę naszych młodzieńców nie trudno wyobrazić sobie ból, jakiego doznaje sumienny profesor zmuszony cierpieć, a co więcej popierać pobieżność i płyt-

kość. Czyż nie korzystniej byłoby dla uczniów i dla naszej przyszłości, gdyby sam nauczyciel przedstawił uczniom krótką treść arcydzieł naszej literatury, podniósł te momenta, które im istotną wartość nadają, a wreszcie przeznaczył do czytania kilka najpiękniejszych ustępów z najlepszych dzieł. Takie krótkie wypiski mogliby już uczniowie gruntownie przerobić i niektórych z nich na pamięć się wyuczyć. Byłby wtedy czas tym małym pięknościom ze wszystkich stron dokładnie się przypatrzyć i poznać styl autora, górność jego lotu, koloryt i siłę wyrażenia. Tu pole popisu dla profesora. Jeżeli gdzie, to na tem miejscu więzy tamują rozwój. Dlatego katedry języków i literatury, a szczególnie literatury polskiej powierzać się powinno wybrańcom, profesorom w zawodzie swym zamiłowanym. Skoro jednak władza raz uczyniła wybór, winna pozostawić profesorowi zupełną swobodę działania. Nauczyciel sumienny, rozkochany w swym przedmiocie, nie zawiedzie zaufania. Będzie on się starał poznać swych uczniów, inteligencja zaś jego, wsparta doświadczeniem, poda mu sposoby dostosowania metody do zdolności uczniów i trafienia do ich duszy. Tak pojmuje publiczność zadanie profesora. Jeżeli społeczeństwo chlubi się dzielnymi obywatelami na polu pracy umysłowej, to nie mówi, że ci mężowie byli uczniami za rządów tego czy innego ministra oświaty, lecz, że oni wyszli ze szkoły tego, czy owego profesora. Wogóle profesorów powinno się jak najmniej krępować.

Na usprawiedliwienie, że pośród młodszego pokolenia w Małopolsce nie wielu jest takich, którzyby pisali czystą polszczyzną, podają niektórzy ten motyw, że szkoły w tej części Polski zostawały do roku 1918 pod niemieckim wpływem. Zarzut ten jest nieuzasadniony. Szkoły »galicyjskie« były w ostatnich czterdziestu latach czysto polskie, nie tylko z formy, ale i z ducha. Tym zaś, którzy nie chcą przyznać się do własnej winy, godzi się przypomnieć, że Szajnocha i Władysław Łoziński (obaj uczniowie samborskiego gimnazjum) chodzili do szkoły za panowania systemu germanizacyjnego, a przecież wyjątki z ich dzieł podawane są w dzisiejszych jeszcze »wypisach« szkolnych jako wzory prozy polskiej.

Jedna jeszcze uwaga na temat dzisiejszych »wypisów polskich«. Za dużo w nich, zdaniem mojem, stylu Reymonta i Sieroszewskiego. Obaj oni doprowadzili artyzm formy do zdumiewającej doskonałości. Czytając np. »Dwie wiosny« Reymonta,

z których ustęp »Wiosna (polska)« znajduje się w wypisach dla seminarjów nauczycielskich (Część I, Lwów 1920), doznajemy prawdziwie zawrotu głowy. Niema słów na przedstawienie tego iscie czarownego zjawiska. Człęk stoi olśniony, niemy. Czy można, pytam się, rzeczy takie zadawać na opowiadanie? Wydaje mi się to tak stosownem, jak gdyby grajkowi wiejskiemu kazano odegrać mazurek Szopena. »Dwie wiosny« nadają się tylko do czytania w skupieniu dla podniesienia ducha, albo dla uczenia się na pamięć. Opowiadać je swojemi słowami z przymieszką wyrazów, czy zwrotów autora, to parodja. — Są to rzeczy, nie dające się naśladować. Natomiast wskazaniem jest, aby młodzież czytała jak najwięcej Mickiewicza, Ignacego Chodźkę, Pola, Siemieńskiego. Pozostaną oni zawsze wzorami polskiej prozy, a w tem ich wyższość, że są przystępni, że styl ich można sobie w głównych rysach przyswoić. Mamy nie mało pisarzy, którzy się na tych tylko wzorach kształcili i doszli do wysokiego stopnia doskonałości. Dla przykładu wymienię tylko Z. Sawczyńskiego, którego utwory spotykamy często w dawniejszych »wypisach« i którego obrazek historyczny »Kubek sierotka« jest zdaniem mojem cackiem artystycznym w swoim rodzaju. Okazał on tutaj, że umie po mistrzowsku władać piórem. Wszystkie szkoły średnie w Polsce nie wydadzą na rok z pewnością ani jednego maturzysty, któryby pisał stylem Reymonta, Sieroszewskiego i im podobnych, naturalnem jednak jest i usprawiedliwionem żądanie, aby z naszych szkół wychodziły corocznie tysiące uczniów umiejących pisać piękną poprawną polszczyzną. Kobiety szczególnie lubią się silić na styl z »Dwóch wiosen« itp. Jaką się śmiesznością okrywają, dowodem tego ich utwory w niektórych naszych czasopismach. Naśladownictwa te są najlepszą pochwałą dla naturalnego a tak powabnego stylu Tańskiej i najlepszym również środkiem na odstręczenie czytelników od takich pism. Sądzę, że żadne »wypisy«, przeznaczone dla wyższych klas, nie mogą się obejść bez wyimków z pism Reymonta i Sieroszewskiego. Ale nie na codzienną strawę uczniom je podawać. W pewnych odstępach czasu profesor albo uczeń, obdarzony talentem lektorskim, czytać je będzie kolegom. Niech się wsłuchują w te dźwięki, w tę harmonję tonów, a kiedyś, po latach jeszcze, muzyki tej echo będzie w ich duszy grało.

Kończąc te uwagi moje o dzisiejszym sposobie uczenia języków, trudno mi pominąć milczeniem rzecz dawniej zupełnie

zaniedbaną, dziś może zbyt starannie uprawianą — sporty. Nie-
uznawanie ćwiczeń cielesnych jest uznaniem zniewieściałości
i gnuśności. Ale aurea via media. Mickiewicz z lubością opisuje
poranne na wolnem powietrzu przygotowywanie się uczniów na
wiosnę i w lecie do lekcji szkolnej, porównując powtarzane z ci-
cha przez nich słówka i zdania do brzęczenia pszczoł. Za moich
czasów ogród »kryminalny« w Samborze w maju i czerwcu już
od świtu roił się od uczniów, pilnych pszczółek. Dziś rzadko
zobaczyć studenta uczącego się na wolnem powietrzu. Natomiast
o każdej porze spotyka się uczniów z różnych zakładów nauko-
wych i rozmaitego wieku, podbijających piłki nożne, wykonują-
cych przeróżne zwroty i skoki, lub maszerujących z plecakami
na barkach. Wspominałem już, że dziś liczba przedmiotów szkol-
nych się zwiększyła. Przybyła niejedna rzecz, bardzo nawet po-
trzebna, jak np. hygiena. A mimo to liczba godzin szkolnych
pozostała albo tą samą, albo się nawet zmniejszyła. Nieuniknio-
nem więc następstwem takiego stanu jest rozwodnienie wiedzy.
Zaradzić temu złemu mogłoby albo zwiększenie liczby godzin
szkolnych, albo też inny rozkład tychże i intensywniejsza nauka,
wyzyskanie do ostatecznych granic przepisanego do nauki czasu.

Chcąc mówić o powiększeniu godzin szkolnych, trzeba się
przedewszystkiem załatwić ze sportami. Za moich czasów stu-
denci ten dział sami sobie urządzali, idąc ustalonym torem tra-
dycji. Pływanie, ślizganie się i towarzyskie spacery w pola wśród
śpiewu i wesołych pogadanek wypełniały całe wykształcenie fi-
zyczne szkolnej młodzieży. Dziś przybyło tych ćwiczeń tyle, że
my starsi nawet nazwy ich powtórzyć nie umiemy. Ze wszyst-
kich tych nowości najpiękniejszymi i najpożyteczniejszymi wy-
dają mi się wycieczki w bliższe i dalsze okolice miasta. Nie
tylko, że hartują one ciało, ale wzbogacają umysł i uszlache-
tniają duszę. Zbliżając młodzież do natury, do ludu naszego,
okazują jej piękności kraju rodzinnego, zapoznają ze zwyczajami
różnych klas społeczeństwa, a szczególnie z życiem wieśni-
ków, każą trzeźwo patrzeć na świat i ludzi, uczą zdrowego pa-
trjotyzmu. Z footballami i harcami przybyła jednak rzecz również
dawniej nieznana, ale dydaktycznie i etycznie niepożądana, nie-
chwalebna. Dawniej pojmowano sporty w granicach właściwego
ich znaczenia i przeznaczenia w życiu człowieka inteligentnego.
Za moich czasów miały szkoły także znakomitych pływaków
i łyżwiarzy, żadnemu z nich jednak nie przyszło do głowy żądać

za to publicznej pochwały albo nagrody. Gdyby zaś który z nich chciał się być uważać za jakąś znakomitość, wyśmianoby go jako pozbawionego zmysłów. Pochwały i nagrody należały się wedle ówczesnych pojęć tylko za naukę i wiedzę. Talent i praca duchowa były w najwyższej cenie. Ćwiczenia cielesne uznawano także za rzecz potrzebną, ale uboczną.

Dziś podniesiono sporty do przesadnej wysokości i takie nadano im w oczach młodzieży znaczenie, że uczeń przekonany jest, iż cały czas pozaszkolny poświęcić winien fizycznym ćwiczeniom. Jeżeli się jeszcze zważy, że nazwiska zwycięzców na rozmaitych wyścigach ogłaszane są w dziennikach, czy można się dziwić, że taki młodzieniec uważa się za bohatera narodowego? Podwójnie ono szkodliwe, zabiera czas przeznaczony na naukę domową i zajmuje głowę studenta w tym stopniu, że nawet na godzinach szkolnych myśl jego goni po boiskach i rozmaitych arenach otoczonych publiką mającą roznieść jego sławę po świecie.

Jeżeli gdzie, to tu szukać przyczyny, dlaczego dzisiejsza młodzież lekceważy sobie pracę duchową i dumną jest wobec ludzi wiedzy i zasługi.

Patrzmy na Anglików, wynalazców przeróżnych sportów i zarazem najżarliwszych popleczników i najinteligentniejszych wykonawców wszelkich ćwiczeń fizycznych. Cały dzień poświęcony tam pracy i nauce. Na sporty, rozrywki i zabawy przeznaczono wieczory. Ćwiczenia krótkie, ale codzienne, regularne i o ile możliwości na świeżem powietrzu. Któryż zaś naród większą wykazać zdolę tężyznę fizyczną i umysłową, jak angielski?

Tak, dzień do pracy.

Skrócić fizyczne ćwiczenia, a przedłużyć godziny do nauki. Młodość to wiosna. Kto w tej porze nie zasieje, ten w jesieni zbierać nie będzie. Rzecz naturalna i zrozumiała.

Pomnożenie godzin szkolnych możliwem jest tylko przy dwurazowej nauce. Ale nawet obecną ilość godzin możnaby o wiele korzystniej wyzyskać, gdyby je na cały dzień z dwurazową nauką rozłożono. Zdanie to opieram na doświadczeniu. Już trzygodzinna praca umysłowa nawet z dziesięciominutowemi przerwami tak nuży, że bezpośredni dłuższy wysiłek duchowy jest niemożliwy. Będą to tylko dilucida intervalla. Proszę obliczonych na minuty przerw nie nazywać wytchnieniem. W czasie tych pauz pilni uczniowie nie przestają myśleć o nauce, średnich zaś zdol-

ności drżą ze strachu przed »wyrwaniem«. Tylko obojętni na wszystko leniwczy pauzują. Ale o tych się nie rozchodzi. Oni i »na godzinie« odpoczywają. Prawdziwem wytchnieniem nazwać można dwugodzinny wypoczynek, wzmocniony posiłkiem. Jest to przestrzeń między godziną dwunastą w południe a trzecią popołudniu. Czas wtedy i myśl w inną zwrócić stronę i niejedno z poprzedniego dnia sobie przypomnieć. Uczeń chętnie popołudniu widzi znowu profesora, bo varietas delectat. Przyjemność łączy się tu z pożytkiem.

Po dwugodzinnej nauce popołudniowej książki na bok, a ręce i nogi w ruch. Godzina dziennie, regularnie, wzmocni ciało i odświeży umysł więcej, niż cały jeden dzień raz w tygodniu. Potem powrót do domu, mała przekąska i przygotowywanie się do lekcji na następny dzień. We środy i w soboty po południu zamiast nauki dłuższe ćwiczenia fizyczne. Wycieczki odbywać najlepiej w czasie feryj świątecznych.

Zbytecznem byłoby tu wykazywać, że wczesne wstawanie jest dla młodzieńca nieodzowną potrzebą fizyczną i moralną. Przypomnieć jednak się godzi, że poranne godziny tylko nauce winny być poświęcone i to o ile możliwości na świeżem powietrzu. Bogaci to główkę, a oblicze kraszą rumieńcem.

Półwiekowe własne doświadczenie moje i żywa zwyczaj czterdziestoletnia praktyka są źródłem, z którego czerpałem powyższe uwagi moje i rady. W latach młodzieńczych z konieczności byłem instruktorem, później czyniłem to z amatorstwa i czynię aż do obecnej chwili chętnie, gdzie potrzeba i gdzie mogę. Polskie, łacina i niemieckie były moimi ulubionymi przedmiotami. Od jakich dziesięciu lat łaciną się nie zajmuję. Podręczniki szkolne dla języka polskiego i niemieckiego budzą we mnie dotychczas jednakową, niezmienną ciekawość. Zawsze honor mój widziałem w pożytku, jaki pracą bliżnim moim przynieść mogłem. Dziś, będąc na schyłku życia mego, pragnę tem więcej dostąpić tego zaszczytu, aby skreślone tutaj moje spostrzeżenia i uwagi znalazły w miarodajnem miejscu posłuch, a młodzież naszą pobudziły do zastanowienia się nad jej przyszłością, która jest przyszłością naszej Ojczyzny.

Dla uspokojenia tych rodziców, którzy synalkom swym z obawy o ich zdrowie wieczorami książki z rąk wyrrywają, rano zaś każą im do siódmej się wysypiać, pozwolę sobie przytoczyć

słowa dwóch naszych mężów, znanych z nauki, pracy i troskliwości o czystość polskiego języka.

Antoni Waga, znakomity polski przyrodnik z pierwszej połowy XIX wieku, w rozprawie swej »O pracowitości«, pisze między innemi: »Nie masz na ziemi stanu, któryby nas wyłączał od potrzeby tego wojowania z trudem, i tylko wtedy prawdziwego szczęścia używać możemy, kiedy przywyknijemy każde starcie wytrzymane w tym boju, za korzyść uznawać. Lecz nie rozumiejące naszych przeznaczeń matki, ojcowie nie pojmujący szczęścia pokoleń, ilekroć nas dziećmi jeszcze będących zbrojącymi się na trud ujrzeni, książki nam odbierali, nauczycieli potępiali, w każdej pracy przeładowanie sił i zabójstwo zdrowia naszego upatrując. Teraz w społeczności naszej, ilekroć pilniejszy człowiek porzuca dla zatrudnień towarzystwo wesołe, wszyscy oddalającego się żałują, że umrze z zapracowania. Biedni! nie pojmują oni, że prawdziwą swobodę tylko pracowity uczuł, i że tylko w wieku pierwotnej dzicy zwierzęce zdrowie korzyścią być mogło... Człowiek, który zakochał się w pracowitości, który już, że tak powiem, zaślubił ją sobie i pewny przeciąg lat z nią pożył, robi się człowiekiem odmiennym w charakterze od innych ludzi, człowiekiem czynnym. Dla takiego niema spoczynku, niema zabawy, gdy niema roboty. Gdy się działania jakiego uchwyci, robi szczerze, nie cierpiąc przeszkody lub oderwania. Jeśli się jednak oderwie, jest zamyślony, w posiedzeniu nieprzydatny, bo on całym umysłem bada wszystkie postępy przedsięwzięcia swojego, rozważa, jakby je najpewniej przywodzić do wykonania i poi się już tą rozkoszą, jaka dopiero po ukończeniu dzieła nastąpi. Dlatego nie ubiega się on za towarzystwami, nigdzie się długo nie bawi, nie wiele mówi i nie rad rozwiązywać pytań, które czczą tylko ciekawość w poznających usiłowania jego budzą. Czuje bowiem, że niczem jest w chwilowej teorii to, co w wieloletniem praktykowaniu jest wszystkim. Nie dba też o powierzchowności zaletę i o wygodę nie stoi. Ledwo się skromnie ubiera. Odpycha nieraz od siebie dobroczynnego snu dary, spóźnioną pora posiłku jeszcze nie bywa zawczesną. Inna to postać, inne obyczaje człowieka. Nie krzywdźmy takiego dziwaka nazwiskiem, miejmy uszanowanie dla niego«.

Z przepięknej mowy inauguracyjnej rektora Jana Śniadeckiego wyjmuję kilka zdań: »Próżniactwo jest nie tylko szkodliwą przywarą młodości, ale obrócone w nałóg, jest jeszcze na

całe życie gniazdem wielu nieszczęść, zdrożności i zbrodni w towarzystwie, czego dowodzą i obyczaje żyjących i dzieje wszystkich narodów. Przez nie człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje, staje się niewdzięcznym Twórcy i przyrodzeniu, zakopuje dary ciała i umysłu i wyrasta na nieużytecznego, a częstokroć na szkodliwego członka społeczności: przywyka do opuszczania i do lekceważenia obowiązków, od których nikt w życiu wolnym być nie może, gotuje sobie nudę, nieodstępną całego życia męczarnię i towarzyszkę, od której uciekając, rzuca się w nałogi i roztargnienia rujnujące jego zdrowie, fortunę, a czasem dobrą sławę i uczciwość...» »Praca i usilność doprowadzi was do pomyślności w robotach, a pomyślność do polubienia nauki. Jest zaś pomyślnością w nauce każda pokonana trudność, każda nowa myśl i postrzeżenie odkryte zagłębioną uwagą, każde czyste i szczęśliwe rzeczy poznanych wystawienie, co wszystko ćwiczy pojęcie i talent, napęlnia nas rozkoszą i pociechą, zapala chęcią do nowych usiłowań tak, że praca pomyślna rodzi z siebie i miłą nagrodę i dzielne nadal zachęcenie. Do osiągnięcia tej pomyślności trzeba czuć szacunek czasu i wprawiać się w gospodarne jego użycie. Bez tego prawidła można się dużo krzątać i trudzić, a nic pożytecznego nie zrobić, co prowadzi do marudztwa, do trwonienia sił, zdrowia i życia...» »Przez niebaczność na to prawidło w urządzeniu czasu do pracy i spoczynku, do zatrudnień i zabaw zaprawiamy spoczynek tęsknotą, zabawę, pracę udręczeniem, a rozrywkę niesmakiem. Życie więc przyjemne, swobodne i użyteczne, ile to od nas tylko zależy, ledwo nie zupełnie jest wypadkiem dobrze urządzonego czasu. Przez zachowanie tego przepisu byłoby w sprawach domowych więcej porządku, w obowiązkach więcej dokładności, więcej korzyści w pracy i zabiegach, w naukach więcej zgruntowanych rzeczy, w zabawach i rozrywkach więcej przyjemności...» »Nie przedstawiajcie na tem, co usłyszycie od nauczycieli, albo przeczytacie w książce, ale starajcie się to pilnie sami rozważyć i opisać, bo dobrze powiedział Bakon, że czytanie czyni człowieka zamożnym a pisanie dobitnym i gruntownym. Tą drogą nie tylko odniesiecie rzetelną z nauki korzyść, ale jeszcze nawykniecie z młodu do pracowitości, która jest zbawiennym na resztę życia i najpiękniejszym przymiotem dobrze wychowanego człowieka. Pracujcie na to, żebyście wspierali, zdobyli i nauczali swój naród gruntownymi wiadomościami, dojrzałym rozsądkiem, okazałością

talentów i niepokalaną wiernością prawom honoru, sprawiedliwości i cnoty.

Młodość, to poezja życia naszego. Słowami też poety (Pola)
»Do młodzieży« kończę te moje wspomnienia:

Z małych to częstek życie się składa —
Z chwilek na pozór bez ceny;
Lecz komu częśćka marnie przepada,
Życie rozplywa się w treny.

Więc zbieraj bracie te drobne karty,
Którymi żywot Bóg pisze;
Na świat i niebo miej wzrok otwarty,
Ukochaj pracę i ciszę! —

Stary Sącz w czerwcu 1925.



